ROCZNIK IX.
TOM II.

NR. 106.
PAŹDZIERNIK.
1913.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

MIESIĘCZNIK

POD REDAKCYĄ

DRA FELIKSA KONECZNEGO

KRAKÓW
ADMINISTRACYA: UL. CZYSTA 1.

„Świat Słowiański“

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5 arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K (10 marek), kwartalnie 2 K 50 h. (2 M. 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K (1 M).

Adres Redakcyi: Kraków XIII., Salwator

Administracya: ul. Czysta L. 1.

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni H. Altenberga we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni Wendego i S-ki.

Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru 106-go:

(październik 1913 r.)



Bałkan a hegemonia pruska.

Pokój, zawarty wyłącznie skutkiem wycieńczenia sił, z powodu fizycznej niemożliwości dalszej walki, staje nieszczerze, w tej myśli, że będzie tylko zawieszeniem broni, poświęconem energicznemu zbieraniu sił nowych, ażeby ich użyć jak najprędzej na wznowienie krwawych zapasów. Żal, zawiść, nienawiść, zaciekłość, mściwość stają się powszechnemi hasłami. Dźwigniami życia być nie mogą, jako ujemne, a pogrążają społeczeństwo w stan najnieznośniejszy, bo tymczasowości zbyt przedłużonej. Realne warunki twardej rzeczywistości rzadko zaś kiedy pozwalają na spełnienie gorących, chociaż nieraz tajonych życzeń, na upragniony odwet. Wyrasta nowe pokolenie, które chciałoby żyć pełną piersią, a nie wegetować tylko, jako wypełnienie luki czasu do odwetu; następują nieporozumienia, rozdźwięk myśli a działania, newroza powszechna, niezdatność do czynu — słowem, całe przedpiekle ducha narodu silnego duchem, lecz wypaczonego przez mdłość ciał, zmuszonego chcieć więcej, niż może.

Bułgarya znajdzie się w położeniu o tyle lepszem, że wrogowie jej są i sobie samym zarazem nawzajem wrogami. Unia bałkańska była bowiem płodem wielce literackim w polityce, niedojrzałym, przedwczesnym. Należało przewidywać, że rozpadnie się, runie. Świadczy to o ogromnej... literackości naszego politykującego świata, że w tem przewidywaniu *Świat Słowiański* był osamotniony [1]). W zeszycie listopadowym 1912. (str. 743) pisaliśmy: „Unia bałkańska? Z pewnością jeszcze nie... Łączność dzisiejsza, to tylko epizod... Choćby nie wiedzieć jakie odnieśli zwycięstwa

[1]) Podobnież była redakcya *Świata Słowiańskiego* podobno jedynem miejscem, gdzie przewidywano, że Rumunia stanie w obozie antyaustryackim.

i zdobyli wszystkie upragnione kraje — powaśnić ich dynastye i wzniecić między nimi wojnę nie będzie nigdy trudno“.

Wszelka spółka wymaga wyższego stopnia przygotowania zawodowego. Za mało na Bałkanie wykształcenia politycznego, żeby unia bałkańska była możliwą.

Były atoli, są i będą jeszcze inne przyczyny, dla których zawsze zachodzić może obawa, że państwa bałkańskie będą prowadzić między sobą wojnę, choćby nawet państwa jednego narodu, np. Czarnogóra i Serbia. „Obawa“ ta bowiem jest słodką nadzieją gdzieindziej i marzeniem kuglarstwa dyplomatycznego.

Dyplomacya nowoczesna, jak wiadomo, polega na tem, ażeby z największym wysiłkiem, choćby z bronią przy ramieniu, starać się o to, żeby nigdy nic nie było zrobione porządnie. Kongres berliński składał się z mistrzów do takiej roboty. Umyślnie, z całą świadomością urządzono półwysep bałkański w ten sposób, żeby żadne z młodych państw nie było zadowolone, żeby każde z nich miało do załatwienia jakieś niewykończone obrachunki z sąsiadami. W staraniach tych brała udział Rosya, brała też Austrya. Nawzajem Niemcy, tudzież inne mocarstwa, nie zaniedbały się ze swej strony i postarały o to, żeby pomiędzy Austryą a Rosyą nie zabrakło sposobności do wykłuwania się „punktów spornych“. Urządzenie Bałkanu miało być tego rodzaju, żeby Rosya nie mogła się obejść bez przyjaźni Prus, żeby ją sobie ceniła nadewszystko ze względu na antagonizm z Austryą, ale też zarazem, żeby i Austrya ze względu na Rosyę upatrywała w Berlinie swego sojusznika niezbędnego, bez którego nie dałoby się żyć. Któżby jednak pragnął wielkiej wojny europejskiej?! Obmyślono więc w ten sposób ustrój polityczny półwyspu bałkańskiego, żeby państewka bałkańskie były każdej chwili zdatne i sposobne bić się pomiędzy sobą za... Rosyę i Austryę. Ten stan rzeczy doskonalono coraz bardziej, bo Rosya i Austrya starały się same o to usilnie — a tymczasem utrwalała się w ten sposób w najlepsze pruska hegemonia w Europie.

To już od wieków jest klątwą państw politycznie słabych, drugorzędnych, że nie mogą prowadzić polityki własnej, a gdy się łudząc na nią porywają, stają się narzędziami w ręku silniejszem i przelewają krew pod własnemi sztandarami i najdroższemi sobie hasłami za... cudzą sprawę. W naszych czasach wykluczonem jest absolutnie, żeby państwo, terytoryalnie szczupłe, mogło być politycznie silnem, nigdy też nie było w rzeczywistości mowy o samodzielnej polityce państw bałkańskich. Nas zaś „gra inte-

resów europejskich na Bałkanie“ zajmowała blizko, przez to samo, że w „grze“ umieszczone były stawki trzech państw rozbiorowych.

Wszystkie one poniosły ostatecznie na Bałkanie klęskę.

Sam fakt, że Rosya nie interweniowała i nie stanowiła w rozwikłaniu sytuacyi czynnika decydującego, stanowi dla niej klęskę i to ciężką. Rosya, zmierzająca do Konstantynopola, znalazła się poza ewolucyą dziejową półwyspu bałkańskiego. Austrya przestała być „największem państwem bałkańskiem“. Nieprzerwany szereg błędów politycznych, popełniony od niepotrzebnej ewakuacyi Sandżaku aż do rozwiązania stowarzyszeń serbskich, brak należytych informacyj dyplomatycznych czy w zeszłym roku o Serbii, czy też w tym o Rumunii, tudzież niesłychana, a zupełnie świadoma zła wola ze strony rządu węgierskiego [1]) — sprawiły, że Austrya blizką jest zamknięcia swej ekspanzyi na Bałkanie; jaką zaś walną klęskę poniosła pośrednio pomiędzy Serbią a Bułgaryą, wiadomo każdemu.

A Prusy? Obecnie przez czas jakiś państwa bałkańskie wojen pomiędzy sobą prowadzić nie mają czem, brak im nawet materyału ludzkiego na „żer armatni“. Na dłuższy więc czas Austrya i Rosya skazane byłyby na Bałkanie na... pokój, a wobec tego Prusy traciłyby też na czas dłuższy wszelkie zyski, ciągnione ze zręcznego kłócenia Austryi z Rosyą. Prusom groziłaby klęska niezmierna, gdyby na czele monarchii habsburskiej znalazł się teraz polityk właściwy. Niezdatność państw bałkańskich do wojny stanowi dla Austryi niezrównaną sposobność do wydobycia się z pod hegemonii pruskiej. Teraz może mieć Austrya wolną rękę pokierować sojuszami i całym „koncertem europejskim“ stosownie do swoich potrzeb; a w takim razie Prusy byłyby albo izolowane w Europie, albo też musiałyby przystać na warunki, podyktowane im z Wiednia.

Toteż szczytem niezręczności ze strony austryackiej, a służbą

---

[1]) Madiarom chodzi o to, żeby nieprzyjaźń Austryi a Serbii była jak największa, żeby wojna austryacko-serbska często wisiała na włosku, lecz żeby nie wybuchła. Przyjaznych stosunkow dynastyi z narodem serbskim nie dopuszczą, bo w takim razie królestwo serbskie ciążyłoby ku Austryi i w Belgradzie powstałoby stronnictwo austrofilskie; nie dopuszczą też do wojny i ekspanzyi austryackiej terrytoryalnej; w jednym bowiem i drugim wypadku wzmocniłby się żywioł słowiański w monarchii. Madiarzy wolą, żeby Austrya się rozpadła, niż żeby przestała być niemiecko-madiarską.

najpoddańszą dla króla pruskiego byłoby popieranie obecnej ruchawki albańskiej przeciwko Serbii...

Bałkańskie pokoje są w istocie rzeczy rozejmem pomiędzy Austryą i Rosyą. Nasz interes wymaga, żeby ten rozejm zamienił się na pokój, o ile to zależeć może od spraw bałkańskich. Chęci do tego nie brak widocznie ni w Wiedniu, ni w Petersburgu.. Skoro wojna austryacko-rosyjska nie wybuchła ani w r. 1888. [1]), ani w 1913. — widocznie nie ma słuszności ogół polityków krajowych, uważający ją za nieuniknioną, a słuszność jest po stronie tych nielicznych, którzy w nią nie wierzyli i nie wierzą. Czem bardziej zaś zmniejsza się tarcie pomiędzy Austryą a Rosyą o rzeczy bałkańskie, tem gorzej dla Prus, bo maleje przez to ich wpływ na ogólną politykę europejską, utrzymywany podwójną grą wobec obydwóch współzawodniczących mocarstw. Gdyby mocarstwa te — lub przynajmniej jedno z nich (co jest mniej prawdopodobne) — wyrzekły się dalszych swych planów politycznych na Bałkanie i pozostawiły półwysep naprawdę jego losom, byłoby to nieodwołalnym wyrokiem upadku dla potęgi pruskiej.

Austrya i Rosya są w tem położeniu, że mogą się porozumieć ku zupełnemu wzajemnemu zadowoleniu, nie tykając kwestyi Bosforu. Austryi wystarczy, żeby Rosya nie szła na Bałkan, ale nie ma najmniejszego powodu hamować zaborczości rosyjskiej kosztem Turcyi azyatyckiej. Owszem, rozszerzenie państwowości rosyjskiej np. w Azyi Mniejszej nietylko pożądańszem byłoby dla monarchii habsburskiej, niż wprowadzenie tam protektoratu Rzeszy niemieckiej, lecz byłoby korzystne, bo politycznie nieszkodliwe, ekonomicznie zaś dogodne, jako nie zagrażające Austryi żadnem skrępowaniem. Rosyjskie panowanie nie przeszkadza ekonomicznej ekspanzyi, o którą chodzi Austryi, a nie o terrytoryalną.

Imperyum rosyjskie musi jednak robić zabory; inaczej byłoby skazane na upadek. Rozłożone na olbrzymiej przestrzeni, może atoli z łatwością wyszukać sobie pole do zaborów tam, gdzie nie doznawałoby żadnych przeszkód ze strony Austryi. Stosunki zaś polityczne są tego rodzaju, że wystarcza, żeby nie było antagonizmu pomiędzy Wiedniem a Petersburgiem, a sama wzajemna

---

[1]) Wówczas najpoważniejsze osoby uważały ją za nieuniknioną. Na linii lwowsko-czerniowieckiej poprzerabiano olbrzymim nakładem małe stacyjki kolejowe do transportu mas wojska i towarów.

„życzliwa neutralność“ tych państw względem siebie stałaby się dla Prus wielkiem niebezpieczeństwem.

W ten sposób nie przestaje istnieć nadal problem: „wojna bałkańska a wywłaszczenie“, określony na tem miejscu w listopadzie zeszłego roku. Sytuacya jest dla nas bez porównania korzystniejszą, odkąd zniknęła obawa, że będziemy... wyprowadzeni w pole, w dosłownem i w przenośnem znaczeniu tego wyrażenia. Zanosiło się na to, że przy pomocy naiwnych i nieodpowiedzialnych agitatorów miano z nas zrobić popychadło polityczne. Skorośmy się szczęśliwie od tego wywinęli, opamiętajmyż się teraz i zacznijmyż sami „popychać“, t. j. wytwarzać sytuacyę polityczną. Austrya znalazła się na rozstajnych drogach i na razie nie posiada zgoła żadnego programu polityki zewnętrznej. Kto tę chwilę wahania się wyzyska i wskaże śmiało nowe tory, na których powiódłby dynastyę i monarchię do chwały i zysków — ten będzie górą. Jeżeli zaś będziemy dalej gnili w bagnie dualizmu, zakonserwujemy jedynie pruską hegemonię, w Rosyi podsycimy mimowoli prąd pragnący rozbioru Austryi, dobijemy Austryę — i siebie [1]).

Teraz pora na energiczne przeprowadzenie zmiany ustroju Austryi — dopóki trwa sytuacya, kwestyonująca szanse Prus. Gdy zaś ta sytuacya przeminie, może być za późno — i to na zawsze!

Obecnie, pod wpływem obrotu wypadków na Bałkanach, panuje w Wiedniu ta konsternacya, która dopuszcza autokrytyki i próbowania nowych dróg...

My zaś powinniśmy raz nareszcie zdać sobie z tego sprawę, że na dotychczasowej austryackiej drodze dalej także już nie zajdziemy. Nowych dróg trzeba i Austryi i nam — a wstępem do tego pragnienie, żeby się skończył i wyczerpał bałkański antagonizm Rosyi i Austryi.

Zdzisław Marycki.

---

[1]) W jaki sposób nasi madiarofile łączą swe madiarofilstwo z „austryacką oryentacyą“ — to już ich sekret!!

Z podróży w kraje południowych Słowian.

I.

Przez madiarskie właści.

Rojno[1]) i gwarno w studenckim przedziale, choć północ dawno minęła; choć i szarzeć zaczyna, nikt o śnie nie myśli. Jedziemy już, jedziemy w kraj daleki! Rozgorączkowana wyobraźnia snuje obrazy tego, co ma się widzieć; humor, wesołość i podniecenie! Mandoliniści pracują, kilkanaście głosów świeżych i silnych śpiewa skoczne pieśni, jakie komu na pamięć przyjdą, a zwłaszcza powtarza się ta, którą profesor lubi: Jak to na wojence ładnie! Żwawe melodye, gwar głosów, wybuchy śmiechu mieszają się z odgłosem pędzącego pociągu, atmosfera młodości unosi się w powietrzu i udziela się i tym, co się już dawno z dwudziestką rozstali. — Przez Śląsk, przełęcz Jabłonkowską, przez dolinę Wagu i Dunaju zdążamy do Budapesztu. Powitał nas „świt bez rumieńca i dzień bez światła w oku“; ziemia śląska po długich i ulewnych deszczach mokra, miejscami zalana. Przed oknami przewijają się schludne wioski, miasteczka fabryczne, stary Cieszyn z zamkiem piastowskim; dobrobyt widać na rzut oka; głowy cisną się do okien i zaczynają się uwagi i porównania. Pasma gór, zrazu dalekie i nizkie, zbliżają ku linii kolejowej i rosną, po szczytach snują się zwały chmur, dolatuje szum potoków i miłe powietrze powiewa; pociąg zwalnia biegu, choć mu druga lokomotywa, od tyłu dodana, w trudzie pomaga. Jesteśmy w środku Karpat. Padają pierwsze słowa zachwytu, bo są między nami i tacy, co pierwszy raz większe góry widzą. — Następuje zmiana krajobrazu; ubóstwo kraju, marne chatki, góralskie stroje, madiarskie napisy na stacyach, przekonywują nas, że jesteśmy już w państwie madiarskiem, na biednej, uciśnionej słowackiej ziemi. Na każdego Słowaka patrzymy tak, jakbyśmy go uściskać chcieli, bo jakież serce ma więcej dla ucisku współczucia, jak polskie? Na postoju w Žilinie zetknęliśmy się z nimi zblizka, nagawędziliśmy się o tem i o owem i serdecznie dłonie ich wyściskali; znają nie-

---

[1]) Wspomnienia i wrażenia z wycieczki, odbytej z uczniami IV. kursu Akademii handlowej w Krakowie, z końcem maja i początkiem czerwca 1912 r. do Bośny, Hercegowiny i Dalmacyi.

którzy z nich Kraków, stąd przeważnie, że chorych na trudniejsze operacye do naszych klinik przywożą.

Kolej węgierska odmówiła nam zniżek i pospiesznej jazdy, choć podobno dla swoich studentów i wolne karty wydaje; ale niema złego, coby na dobre nie wyszło — twierdzą optymiści; dla nas istotnie tak było. Jedziemy sobie wolno, ciekawsze rzeczy dokładniej oglądnąć możemy, przesiadanie nam nie dokucza, bo „omnia nostra nobiscum portamus“, a przy dłuższych postojach z zegarkiem w ręku biegniemy oglądać miasta i miasteczka. Właśnie w Žilinie (Zsolna-Sillein) wypadło nam przeszło dwie godziny czekać. Już mandoliny na przedzie, już trójki ustawione i tęgim marszem kroczymy pod górę do miasteczka, oryginalnemi podcieniami okrążamy rynek dokoła i przed kościołem ze Słowakami prowadzimy gawędkę; ten i ów biegnie czereśnie na drogę kupować. Zapał śpiewacki i na stacyi nie gaśnie, gromadkę naszą formalny wał ludzi otacza, słuchają i uśmiechają się do nas. Nie jest rzadkiem zjawiskiem Polak wędrujący po świecie, ale rzadkością są polskie wycieczki zbiorowe; Czesi w tem prym dzierżą, toteż i tu i często w dalszej podróży za Czechów nas brano.

Trenczyński „komitat“ obfituje w wielką ilość starożytnych zamczysk, co dolinie Wagu dodaje malowniczości, wspaniałe zwłaszcza i olbrzymie są ruiny w samem mieście Trenczynie, tuż nad koleją, na wyniosłem wzgórzu się piętrzące. Bierze ochota, ażeby je zwiedzić, zobaczyć i kąpiele trenczyńskie, albo termy w Piszczanach, ale czas nie pozwala. Bawimy się tedy przyglądaniem się z okna barwnym strojom Słowaków tamtejszych, którzy w dzień świąteczny gromadami do kościoła przeciągają i skrzętnym urzędniczkom kolejowym, które w spodniczkowych mundurkach i z parasolkami do pociągu spieszą. Ten widok tak nas nawet cieszy, że zapominamy o groźnej rywalizacyi, jaka nam o chleb powszedni ze strony płci nadobnej zagraża.

W miasteczku Galanta przesiadamy. Czyste i schludne nadzwyczaj, bruki, asfalty, elektryczność w takiej maliźnie! Dziwią się temu Polaczkowie, do innych porządków wezwyczajeni i jednomyślnie decydują, że skoro tak wszystko „galantne“, to i miasteczko całkiem słusznie Galantą się nazywa. Odmienny też i sposób budowania miasteczek, aniżeli u nas. Mają one prawie zawsze kształt podłużny, bo zamiast kwadratowych rynków ciągnie się środkiem szeroka ulica, jej znów środek zajmują najważniejsze

budowle, place targowe i planty, domy zaś zazwyczaj bokiem do ulicy stoją.

Tor kolei preszbursko-budzyńskiej biegnie w znaczniejszej części nad samym brzegiem Dunaju. Potężna już w tych okolicach rzeka, zwłaszcza że była wezbrana, imponujące robiła wrażenie; żegludze i spławom można się było napatrzeć do syta. Nowością dla nas były winnice, stoki wzgórz ławicami zaścielające; nie wyglądają one tak malowniczo, jak włoskie, gdzie festonami rzuca się z drzewka na drzewko bujny winograd, ale przysadkowato wspierają się o drewniane paliki. Nasze lasy chmielowe są piękniejsze dla oka; dla głowy nie, bo ją jednako zawracają.

Zmienia się i wnętrze wagonu; słowiańszczyzna przycichła, wokół siebie tylko madiarski język słyszymy. Zwabiła przecież nasza mowa jakiegoś pana, Słowaka, z którym z czeska po polsku doskonale się porozumiewamy; miło mu z nami, a nam z nim; do Turczańskiego Marcina na zjazd słowacki coroczny nas zaprasza, o walce z madiaryzacyą opowiada, a przytem ciekawsze widoki objaśnia.

Wbija się nam w pamięć wyniosła ruina Wyszegradu, w dziejach węgierskich dobrze pamiętnego, okazała rezydencya prymasa Węgier, Ostrzyhom, przez Sobieskiego niegdyś zdobyty, a na głos konduktora: Parkany! tłumnie się do okien rzucamy. Chciałoby się zapamiętać to niefortunne miejsce, gdzie nasz wiedeński bohater omal głowy nie złożył, lecz nic prócz pól płaskich i drzew rozłożystych nie widać.

Pierwszą osobą, którąśmy w Peszcie spotkali, był Polak, stary posługacz kolejowy; na odgłos polskiej mowy odbiegł zarobku i rozradowany do wieczora nas nie odstąpił. Od młodości tu osiadł, nie mógł być w rodzinnej stronie ani razu, a choć mu głowa posiwiała i przy polszczyźnie język się już plątał, nie przestał myśleć o tem, żeby z groszem powrócić, domek kupić i między swoimi kości złożyć. Przypomniał się nam Latarnik Sienkiewicza; losy odmienne, u tego szare i jałowe, ale „biedne stare serce“ to samo.

Sławią Węgrzy piękność swej stolicy i nad Wiedeń ją przenoszą, zapewne skutkiem właściwego im szowinizmu. Nam niepodobna było w ciągu jednego wieczoru w tak wielkiem mieście się rozpatrzeć; trudno jednak bez zachwytu mówić o widoku miasta nocną porą z mostu Elżbiety, lub ze zamkowej góry w Budzie. Długie skwery, wielkie gmachy, rzędy rzęsistych świateł, odbijają-

cych się w nurtach Dunaju, przypominają widok na Santa Lucia w Neapolu.

Choć wygodniejsze połączenia kolejowe wiodą ku Bośni prawym brzegiem Dunaju, wybraliśmy jednak drogę pomiędzy Dunajem a Cisą, przez sławne „pusty“ węgierskie. Dla obeznanych droga to nudna i jednostajna, dla obcych pomimo wszystko ciekawa i nie bez treści. Kiedy znikną ostatnie wzniesienia i falistości gruntu, płaszczyzna nieprzejrzana na wszystkie roztwiera się strony, istny „przestwór suchego oceanu“. Wzrok biegnie w dal, szukając jakiegoś punktu oparcia — daremnie — pustkę tylko przeszywa, musi więc czepiać się przedmiotów bliższych. Wsi i miasta rzadkie, dalekie od siebie; czasem tylko ukaże się biała wieża kościelna i zarysuje się oaza drzew. Pastwistka niezmierne, na nich stada bydła i „owiec“ nieprzebrane mnóstwo; dziwią nas tylko obyczaje tych „owiec“ — oto tarzają się w błocie. — Ha — taki upał, cienia nigdzie niema, mówi ktoś, ale wełny szkoda... Aż wreszcie wyszliśmy z błędu, gdy „owieczki“ tuż przy torze się pojawiły, — ależ to świnie, najzwyczajniejsze świnie, tylko wysmukłe i krętą szczeciną pokryte. Inna polska — a inna węgierska świnia; ta ostatnia w owczą się skórkę odziewa!

Kiedyniekiedy folwark przesunie się przed oczyma: dom mieszkalny, obora, stodoła, olbrzymie sterty słomy, żóraw studzienny i więcej nic, nawet drzew brak naokół. Gdzie ochłoda, gdzie schronienie przed silnym żarem słonecznym? Zbliża się okolica bardziej zaludniona. Tam grupa domów, tu samotne domostwo z iłu ulepione, ale dość schludne, tam moczar, tu lasek akacyowy, ława piaszczysta z winnicą, obszary kukurudzy, pomiędzy nią dynie pękate. I znów da capo to samo: pastwisko, stada, żóraw, folwark, sterty, akacye, kukurudza, dynie, winnice. I znów jeszcze raz to samo. Dość tego nareszcie! Komu posępna zaduma na sercu osiadła i smutek duszę nurtuje, możeby zlał się z przyrodą w ton zgodny, ale u nas życie i temperamenty grają! Rozgwar wesoły wybucha, sypią się anegdotki i pieśń dźwięczy wesoła.

Na obiad dwie nam godziny przypadły w Subotycy (Szabadka). Prędkośmy się zwinęli z węgierskim gulaszem, bo w nim wiele papryki, ale mięsa niewiele było; w mieście dzień targowy, jest dość do widzenia. Rdzenna madiarszczyzna wszędzie, tylko przekupnie z owocami ze Slawonii. Madiarski język szedł nam, jak z kamienia: „teszek, igen, mindia“ — i więcej nic. Za to z pierwszymi Chorwatami nawiązujemy rozmowy i dobre postępy

czynimy. Kilkunastotysięczne miasto ma ratusz, któregoby się niejedna stolica nie powstydziła, teatr miejski z grecką kolumnadą i okazałą synagogę żydowską; handel ożywiony, sklepy bogate, zamożni wieśniacy po sprzedaży swych produktów czynią w nich zakupy. Strój wieśniaczek suty, choć nie zbyt gustowny, z materyałów doborowych, nawet i jedwabnych, kolorów żywych w wielkie kwiaty lub szerokie kraty, a wszystko, jak się dowiadujemy, z fabryk krajowych. A my co na sobie mamy swojego wyrobu? Niema, ale będzie!

U kresów Węgier niezwykła niespodzianka! Tor kolejowy urywa się nad brzegiem Dunaju, most dopiero w budowie. Jak dostaniemy się na drugi brzeg rzeki szerokiej na 650 mtr. Zagadka wkrótce rozwiązana; lokomotywa odjeżdża do swej „sypialni“, a na tył pociągu przyjeżdża inna, lekka i mała i pcha nas zwolna po opadających w dół szynach do niewielkiej zatoczki; tam prom żelazny czeka, a przez środek jego szyny się dłużą. Lecz czemu jedziemy, wszak prom kilkanaście metrów od brzegu oddalony? Okna nabite głowami, niektórzy na platformy i dachy powychodzili; widać nerwową ciekawość, przestrach nawet. Chwilka jeszcze, a znajdujemy się w wodzie; koła pluszczą po osi zanurzone, obracając się po ułożonych na dnie przystani szynach. Jeszcze jedna chwila, a znajdujemy się na promie, lokomotywa wraca, lokomobila na promie idzie w ruch, napręża się lina druciana, do której prom umocowany i zwolna jedziemy przez poważną, cichą, ale groźną rzekę. Lecz w niedługi czas chyba na Bajkale zostaną turystom takie niespodzianki, bo opodal przewozu już do połowy prawie doprowadzono budowę olbrzymiego mostu, o arcykunsztownej konstrukcyi, kosztem 11,000.000 K.

Przebrnęliśmy wyspę madiarską i znów wpłynęliśmy na słowiańskie morze. Chorwaci! Ci językiem nam dalecy, lecz dziejami, ustrojem społecznym, usposobieniem nam blizcy, dorodni i mili, kulturni i gościnni, szczerzy i ogniści, i jak my z niemieckiem, oni z madiarskiem jarzmem wytrwale i skutecznie walczący. I krajobraz sławoński naszą nam krainę przypomina, tylko, że gdy nasza rola-żywicielka w małe rozdrobniona szmatki, to tu łany na kilometry kwadratowe się liczą, a na nich bujna pszenica faluje. Spichlerz południa!

I znowu nasz „bumel“ skazał nas na trzy godziny czekania. Slawońskie miasteczko małe i ciche, jak pierwsze lepsze u nas w Galicyi — Vinkovci. Właśnie rozmyślamy na rynku, co ze

sobą zrobić? trzy godziny czasu! Gwiazdki esperanckie wybawiły nas z kłopotu. Zoczyli odznaki miejscowi esperantyści i jak swoich do klubu nas zabrali. Miła pogawędka, wymiana zdań, myśli, adresów, wpisywanie nazwisk w książkę pamiątkową, wieczerza w towarzystwie nowych znajomych — i już czas na pociąg. Jak ten czas szybko leci! O samej północy zahuczał nasz pociąg na Sawie i przerwał pożądaną drzemkę; Bośniacki Brod! Wysiadamy na ziemię, która jest celem naszej podróży.

II.

W wyzwolonym kraju.

Polska była przedmurzem chrześcijaństwa i cywilizacyi, piersią swą osłaniała Europę od zalewu Turków; — to zdanie każdy z nas zna od dziecka, wpajano mu je przy pierwszych elementach nauki dziejów ojczystych. Ale ileż treści nabiera ono dla tego, który zwiedził Bośnę i Hercegowinę! Tylko taki może je do gruntu zrozumieć. Cztery z górą wieki panowali tu Turcy, a panowanie to — jak twierdzą zgodnie wszyscy dziejopisarze tych krajów, jak opowiadają ci, którzy je jeszcze pamiętają — to jedno pasmo straszliwego ucisku i bezprawia, mordu i pożogi, niesprawiedliwości i samowoli, nietolerancyi i prześladowań. Kto nie stał się wyznawcą islamu, życia i mienia nigdy nie był pewien. Brud i ciemnota, nędza i łzy — oto jedyne pamiątki rządów tureckich. A przecież była tu niegdyś kwitnąca prowincya rzymska, Illiryą zwana, o której wysokiej kulturze do dzisiaj znajdowane poświadczają zabytki, w której rozwijał się handel i górnictwo; a przecież, kiedy tu osiedlili się w VII. w. naszej ery Słowianie, umieli się dobrze rozgospodarować pod rządami banów, z których jeden, Stefan Kotromančić, ożeniony z kujawską Piastówną, był dziadkiem naszej królowej Jadwigi i założycielem królewskiej dynastyi [1]); a przecież istniało tu przez lat sto samodzielne królestwo bośniackie, którego władcy tytuł królów Chorwacyi i Dalmacyi przybrali i kraj swój do niebywałego dawniej przywiedli dobrobytu. Niezgodą jednak i wewnętrznemi waśniami trawione królestwo, nie miało dość siły, by oprzeć się potędze tureckiej, która w zwycięskim pochodzie w Europę wdzierać się poczęła. Kiedy w r. 1463. ostatni król bośniacki, Stefan Tomašević, oddał

---

[1]) X. M. Czermiński: Z podróży po Bośni i Hercegowinie. Kraków 1899.

głowę pod topór Turków, którzy mu przedtem wolność zaręczyli, zaczęły się dla tej krainy wieki krwi, łez i niedoli ciężkiej, aż do chwili, gdy w r. 1878. z polecenia berlińskiego kongresu Austrya ten wulkan europejski zajęła. I wróg zacięty musi przyznać, że rządy tego państwa są dla tych krajów błogosławieństwem. Obyśmy i my i wszystkie ludy tak o Austryi myśleć mogli! Co Bośna i Hercegowina mają dobrego i cywilizowanego, wszystko to Austryi zawdzięczają i wszystko to w przeciągu lat 30 powstało. Znakomite gościńce, kosztem milionów wśród dawnych skalistych bezdroży i górskich przesmyków budowane, sieć kolei, (chociaż wązkotorowych), liczne fabryki i kopalnie, szkoły i świątynie dla wszystkich wyznań i języków, szpitale i zakłady kąpielowe, instytucye dobroczynne i finansowe, hotele, szkoły zawodowe, rolnicze, handlowe, przemysłowe, rękodzielnicze, wspaniałe budowle — słowem wszystko, co daje cywilizacya, mnoży się, rośnie w szybkiem tempie, a często bywa wyrazem najwyższego postępu.

Mylą się ci, co sądzą, że w Bośni niema nic do widzenia, że kraj to jeszcze dziki, a nawet nie dość bezpieczny. Na dziś już to mniemanie spóźnione. Co prawda, nie zewsząd jeszcze dawne barbarzyństwo wyparte, jeszcze miesza się tu Europa z Azyą, jeszcze zdarzą się serca muzułmańskie, lodem nienawiści ścięte, lecz pod wpływem ciepłego powiewu tolerancyi i sprawiedliwości, wszystko to topnieje i znika.

Dziś można tu wygodnie i bezpiecznie podróżować, a w podróży tej widzi się więcej i ciekawszych rzeczy, niż gdzieindziej w Europie. Najwięcej egzotyczności przedstawia bezsprzecznie świat muzułmański, choć Turków tu właściwie niema; po okupacyi kraj opuścili i dotąd resztki go opuszczają, ale wiara w Proroka silne tu zapuściła korzenie. Trzecia część mieszkańców zalicza się do dziś dnia do wyznawców jego, a między tymi poturczonymi przymusem Słowianami, zwyczaje i obrzędy religijne mahometan w czystszym i pierwotniejszym przechowały się charakterze, niż w samej Turcyi.

Obszar tu etnograficznie jednolity; oprócz pewnej liczby rozmaitych cudzoziemców, których miejscowi jedną nazwą „s z w a b y“ obejmują, oba kraje są przez naród serbo-chorwacki zamieszkałe. Ten naród jednak aż trzech używa alfabetów i trzy wyznaje religie, przez co w nieuświadomionych i pojęcie narodowości się zaciera: katolicy używają pisma łacińskiego i za Chorwatów się

uważają, grecko-oryentalni cyrylicą piszą i Serbami się nazywają, mahometanie, choć pisma i języka tureckiego, prócz duchownych nie znają, za „Turków“ znów uchodzą.

Ciekawą tedy — powtarzam — i nader pouczającą jest podróż po Bośni i Hercegowinie. Bo i któż nie znajdzie tu rzeczy ze wszechmiar ciekawych, budzących zajęcie, tu w tym kraju czarującej przyrody, bogatej fauny i flory, skarbnicy pokładów mineralnych, budzącego się handlu i przemysłu? Każdy, wrażliwy turysta, czy badacz uczony, etnograf czy przyrodnik, technik czy duchowny, kupiec, przemysłowiec czy żołnierz — każdy! Choć nowe szkoły wydają zastępy miejscowej inteligencyi, która powoli wycofuje obcych z obiegu, i zarząd kraju, jego handel i przemysł we własne ujmuje ręce, to przecież i tak dość pozostaje miejsca dla innych i pola do działania dla ludzi interesu. A dla Polaka jeszcze i z innego powodu kraj ten od innych ciekawszy i milszy, z powodu, który nie wzruszy serc synów narodu wolnego i szczęśliwego. Oto jesteśmy tu świadkami odrodzenia narodowego na całej linii, odrodzenia po czterowiekowym — rzec można — niebycie. Rząd turecki, jeden z najwystępniejszych w świecie, tępił i prześladował najokrutniejszymi środkami tych biednych Słowian, których jedyną winą było to, że byli słabsi i że byli wyznawcami krzyża. Niedawno byliśmy świadkami, jak postępował konstytucyjny rząd młodoturecki z Albańczykami, co orężny protest przeciw uciskowi podnieśli; łatwo sobie wyobrazić, co robił tu ten stary rząd sułtański, gdy w sprawę pokrzywdzonych nikt zgoła nie wglądał. A choć krwią polał całą tę glebę słowiańską, choć w trzecią część mieszkańców ducha renegactwa wszczepił, a resztę w nędzy i poniewierce trzymał, chociaż poturczeni mieszkańcy przez dziwną losów ironię, tym właśnie, co im bądźcobądź wolność nieśli i jarzmo ciężkie zrzucali, tak zacięty stawiali opór, to przecież duch słowiański głowę tu podnosi i żyć na nowo zaczyna, bo zachowało się to, co jest największą ostoją narodowości: zachował się język. I wywozi się stąd wzmocnione przekonanie, że niemasz takiej siły na świecie, którąby zdolna była zgubić naród, jeżeli on sam własnych się bogów nie wyprze. Kopani, deptani, w helotów zamienieni i przez cztery przeszło wieki tępieni tu Słowianie, dziś odradzają się i żyją; zła przemoc rozpadła się w gruz, a na tych gruzach coraz szerzej i silniej rozbrzmiewa pieśń, że „Hrvatska ne propala“!

* * *

Wygodnie podróżowało się nam po Bośni. Dyrekcya kolei w Sarajewie nietylko przepołowiła nam cenę biletów, ale przeznaczyła też dla nas osobny wóz od Brodu aż do Dubrownika, tak, że każdy miał swoje okno do spoglądania na świat boży. A jest na co patrzeć i nie wiadomo, gdzie pierwej oko zwrócić i na czem je dłużej zatrzymać.

Bośna, a zwłaszcza Hercegowina, są krajami wybitnie górskimi i tak w piękności przyrody wyposażonymi, że pod tym względem ze Szwajcaryą mogą współzawodniczyć. Ledwie świt zaróżowił krajobraz, pościągaliśmy wszystkich śpiochów z ławek i górnych półek i stanęliśmy olśnieni tem, co przed oczami się przewijało. A przecież był to dopiero wstęp do tego, co miało nastąpić; im dalej bowiem wgłąb kraju ku Adryi się zapuszczasz, tem bardziej te piękności się wzmagają, zmieniają, przybierają coraz to inny charakter i dochodzą do takiej potęgi czaru, że przewyższają wszelkie oczekiwania i marzenia, a żaden opis sprostać im nie zdoła.

Krajobrazy hercegowińskie stawiam ponad Włochy, a na równi z Alpami.

Droga żelazna ku Sarajewu wije się w ciasnym przesmyku górskim nad brzegami Bosny, po drugiej stronie kręci się gościniec; obie drogi przeskakują czasami nurt rzeki, zamieniają brzegi, to znów na jednym brzegu szukają sobie obok siebie miejsca. Dwóch zwłaszcza miejscowości nie radzę przeoczyć turyście; pierwsza: miasteczko Maglaj nad jeziorkiem, na stoku góry nad wyraz malowniczo rozrzucone, smukłemi wieżyczkami minaretów i ruinami zamku zdobne, druga: wioska Vranduk z domkami jak gniazda jaskółcze, do grzbietu skały pouczepianemi, znów z ruiną na wierzchu, a niżej kadłub skalny tunel gościńca przewierca.

Lecz podziw przyrody u nas na drugim planie — wychowankowie Merkurego inny cel mają przedewszystkiem na oku: interes. A nie jedziemy „nieprzygotowani“. Ci, co dostali książki o Bośni do przestudyowania, porobili wyciągi i „ex offo“ innym udzielają wyjaśnień. Zwracamy uwagę na znane tu bogactwo lasów. Nasz Jaś, lubiany i popularny, a jak „filozof szpekulantny“, już snuje plany wielkiego tartaku, ale wnet rzednie mu mina, gdy w Zavidoviću olbrzymi tracz parowy zoczył; sypią się żarty i dobry humor kolegów na jego głowę się zlewa. „Młyn założę“ — powiada; ale jakoś mało zboża widać, na skrawkach gruntu kuku-

rudza przeważnie, a koło chałup śliwki. „Jasiu! śliwki będziesz mełł, a skały krajał na deski“! Ale „Jaś — filozof“ nic sobie z tego nie robi i z powagą dalsze myśli snuje i gdzie może, różnych informacyi zasięga.

Przemysłowemu miasteczku Zenica dzień cały poświęciliśmy. Tu oczekiwał na nas p. Ivan Kurtović, urzędnik sarajewskiej Izby handlowej, nasz niestrudzony przewodnik i uprzejmy opiekun w czasie całego pobytu w Bośni i Hercegowinie. Izba handlowa w Sarajewie, zawiadomiona o wycieczce handlowców z nad Wisły, okazała iście słowiańską gościnność i roztoczyła nad nami opiekuńcze skrzydła. Doskonały program wycieczki, wszelkie wstępy i fachowe objaśnienia, dobre i tanie noclegi i pożywienie, całą oszczędność w czasie i wydatkach jej mieliśmy do zawdzięczenia.

Zenica posiada fabrykę papieru, kopalnie węgla, hutę żelazną i centralny zakład karny. Gdzie najmniej spodziewaliśmy się widzieć, tam widzieliśmy najwięcej. Szliśmy do zakładu karnego z pewnem uprzedzeniem, wyszliśmy mile rozczarowani; to właściwie nie więzienie, to na wielką skalę urządzona szkoła gospodarstwa rolnego i wszelkich gałęzi przemysłu domowego dla całego kraju, to nie znienawidzony, lecz chyba błogosławiony przez mieszkańców zakład. Co nas zdziwiło, jeszcze zanim weszliśmy do wnętrza, że więźniowie chodzą po mieście i poza murami zakładu bez żadnego nadzoru, zupełnie swobodnie. Ta właśnie swoboda obok pracy są głównemi dźwigniami poprawy. Wprowadzono tu system irlandzki, który polega na dokładnych psychologicznych rachubach, i podczas gdy inne więzienia deprawują duszę przypadkowych przestępców i zbrodniarzy, tu dzieje się przeciwnie. Kara więźnia dzieli się na trzy okresy, w pierwszym dają mu odczuć utratę swobody i starają się przyprowadzić go do przekonania, że praca zadaniem i szczęściem człowieka i rozbudzają w nim za nią tęsknotę. Drugi okres — to okres nauki i pracy, lecz pracy nie przymusowej i narzuconej, ale według własnego upodobania i zamiłowania obranej. I czego ten więzień może się tu nauczyć? Wszystkiego, do czego tylko chęć poczuje. Zakład prowadzi wzorowe gospodarstwo rolne, ogrodnictwo, rasową hodowlę bydła, wszelkie rękodzieła i gałęzie drobnego przemysłu. Rolnik więc doskonali się w swym zawodzie, rękodzielnik w swojem, „panowie“ bez określonych zajęć zaczynają naukę od elementów; jedynie złodzieje i inni „specyaliści“ doskonalić się w swoim

zawodzie nie mogą. Nadzorowanie coraz wolnieje, aż wreszcie więzień staje się samodzielnym i swobodnym pracownikiem, a pomimo tego wypadki ucieczki należą do rzadkości. Niegodni dobrodziejstwa wracają do pierwszej kategoryi więźniów, godnym dalsza kara zostaje właściwie darowaną, ogranicza się ona bowiem tylko do nadzoru. Za zgodą gminy wraca więzień w trzecim okresie do miejsca rodzinnego lub osiada w kraju, gdzie tylko pragnie i staje się nietylko nauczycielem postępu, ale i przykładem pracowitości. A to ostatnie nie mniej od pierwszego potrzebne. Pogarda doczesności i niedbałość o wszystko, co życiu ziemskiemu służy, udzieliła się od wyznawców Mahometa i reszcie ludności, toteż pracowitość niewielkie święci tu tryumfy. — I w ten sposób nawet przestępcy, nie oplwani i odepchnięci ze wzgardą, lecz przygarnieni po ojcowsku przez społeczeństwo, ze szkodliwych stają się pożytecznymi jego członkami i tryumfuje dawna Chrystusowa idea, że przebaczenie od zemsty silniejsze.

Pokłady węglowe w Zenicy płoną od lat kilku, a rząd krajowy, jako właściciel kopalń, daremne czyni wysiłki, aby żar przytłumić; i dziwny to widok, jak koło miasteczka ze szczelin w gruncie i skałach, a nawet z grobów na cmentarzu, dym i para bezustannie się wznoszą.

Hutom żelaznym doborowej rudy dostarcza kopalnia koło miasta Vareš. Przemysł, ten upragniony dobrodziej narodów, jakimż z odwrotnej strony jest obrzydłym Molochem, który tak dużo sił i zdrowia, a nawet życia swych pracowników pożera! Nie zapomnę nigdy widoku robotnika, który na żelaznej łopacie rudę do pieca wsypywał. Rozebrany do koszuli, w żarze, który mię od pieca, jak silne pchnięcie, usunął, zwijać się musiał z błyskawiczną szybkością; pot nie kapał, ale lał się z niego, jak gdyby mu kto na głowę konew wody wylał, oczy ogniem płonęły, muskuły jak stal naprężone, żyły i ścięgna na wierzch powychodziły. Po godzinie nie pracy, ale męki takiej, trzy godziny spoczywa i ciało wodą polewa. — Tam znów kłody wytopionego żelaza na ochłodzenie wywlekają, robotnik woła, by uważać na siebie, bo jedno dotknięcie, a kaleką jesteś. Dalej te kłody — jak piórka lekkie ponad twą głową śmigają; kran elektryczny za pomocą siły magnesu w górę je porywa i w dalszy obrót porzuca. Dziesiątki walców wiruje w szybkich obrotach, dziesiątki szyn żelaznych równocześnie przez ich się zęby przemyka; z sykiem, sypiąc iskrami, wybiega wąż ognisty z pod walca, wije się jakby w sza-

lonym bólu po kamiennej posadzce, lecz ledwie wypadł z jednej prasy, już robotnik chwyta łeb jego w żelazne kleszcze i w drugą go pakuje, skąd znowu cieńszym wychodzi. Gdzie stąpisz, ogień, żar, huk, chaos, pospiech, gorączka — istne piekło. Po godzinie pobytu szum w głowie poczułem, pot ściekał z ciała, pragnąłem gwałtownie na powietrze się wydobyć. A przecież są tacy, co lat dziesiątki i całe życie nawet spędzać tu muszą! Mówił nam inżynier, że do tych robót wybierają samych ludzi silnych, młodych, przytomnych i zwinnych jak jaszczurki, lecz po pewnym okresie czasu już muszą ich przeznaczać do robót lżejszych, lub na łaskawy chleb wysyłać. Płaca ich pozornie dobra, bo od 6 do 12 K dziennie, pozornie jednak, bo czyż pozostaje w odpowiednim stosunku do rychłej utraty sił i zdrowia?

* * *

Przez czas pobytu w Sarajewie nocowaliśmy w miejscowości kąpielowej Ilidže, dzień spędzaliśmy w mieście; tak zwykle robią turyści i słusznie. Po skwarze miejskim miło spędzić godzinę wieczorną w cienistej oazie i noc w eleganckich, a tanich hotelach rządowych. Co 40 minut kursuje osobny pociąg do miasta, o 11 klm. oddalonego. Dziś stoi Ilidže na europejskiej stopie, dziś zjeżdżają tu kuracyusze nawet z Zachodu, by odpocząć wśród pięknej przyrody i pokrzepić zdrowie w siarczanej kąpieli, która o ciepłocie 58° C. w nadzwyczaj wielkiej obfitości, w odkrytym basenie wybucha. Za tureckich czasów kilka prymitywnych lepianek stanowiło cały zakład. Dobroczyńca kraju, minister Benjamin Kallay, do kwitnącego doprowadził go stanu.

Nie będę zajmował czytelnika opisem najróżnorodniejszych zakładów przemysłowych i handlowych, na których zwiedzaniu w Sarajewie dużo czasu nam zeszło. Wiele z tych rzeczy można i w innych miastach widzieć, więcej jednak jest takich, których gdzieindziej się nie zobaczy. Młode siły pozwalały nam biegać z jednego końca miasta na drugi i w dwóch dniach oglądnąć tyle, na co zazwyczaj trzy i cztery doby potrzeba poświęcić. Nigdzie też nie przyjęto nas jako czas zabierających natrętów, ale wszędzie z uprzedzającą uprzejmością i uczynnością, a naczelnicy instytucyi sami podejmowali się trudu oprowadzania i objaśniania. Z pomiędzy innych wspomnę wzorowo urządzony i świetnie prosperujący bank krajowy, w którego dyrekcyi zasiada rodak

nasz, p. Lekki, wielki browar akcyjny, przędzalnię tkanin wschodnich, fabrykę tytoniu i papierosów (cygar w Bośni nie wyrabiają) z bezpłatnemi łaźniami dla robotników. Nie ominęliśmy też i nowej szkoły realnej, której urządzenia zazdrość i zdumienie u nas wywołały. Co w dziedzinie hygieny szkolnej najlepszego wymyślono, tu znalazło zastosowanie, a jest wynikiem długich podróży dyrektora, p. Karamana, po Europie. Młodzież uczy się tu w idealnych warunkach; a i o fizycznem wychowaniu pamiętał dyrektor, znany w swem mieście zwolennik sportów; oprócz bowiem zbytkownej wprost sali gimnastycznej, zakłada obok szkoły ogród botaniczny i place do gier ruchowych i do nas, do parku Jordana, po wzór w podróż się wybiera.

Osobliwość przemysłu wschodniego stanowi tu pracownia artystycznego przemysłu metalurgicznego, inkrustowanie i cyzelowanie naczyń i przedmiotów zbytkowych; tę gałąź przemysłu rodzimego rząd przez założenie tej szkoły udoskonala i do mistrzostwa doprowadza, popiera też przemysł drzewny i koronkarski. — Dalszą osobliwością jest fabryka dywanów. Fabryka to dziwna, bo maszyną są w niej tylko ręce ludzkie, fabryka, w której pracy ludzkiej nie zastępuje się maszynami, ale która ludzi zamienia w maszyny. Wyrób tutejszych dywanów odbywa się na sposób perski, t. j. polega na wiązaniu węzłów rękami, a wartość ich liczy według ilości tych węzłów. Siedzą rzędy dziewcząt, przy każdej stosy różnokolorowych nitek wełnianych, przed każdą maszyna tkacka i barwny wzorek; wzrok w niego wlepiony, ręce chwytają nitkę, wiążą kolejno na z góry na dół rozpiętych sznureczkach, potem noga naciska przyrząd, który zbija węzełki w masę i przewleka nić poprzeczną. I tak przez godzin 12 na dobę; żadnego innego ruchu, żadnej rozmowy! Cena dywanów wydawała mi się przedtem wysoką, teraz za nizką; lepiej być więźniem w Zenicy, niż tu robotnicą.

I cóż stanowi dalsze osobliwości tego miasta? Odpowiedź na to łatwa. Osobliwością niepowszednią jest miasto całe; wszystko, co się tu widzi, słyszy, spotyka, jest nowem, nigdzie w Europie tyle się nowości nie znachodzi. Słynne i znane jest Sarajewo ze swego pięknego położenia; wielu sławiło piękność tego miasta, a turecki poeta porównywa je do pięknej dziewicy, na łożu z róż białych i z zieleni leżącej w dolinie, ponad którą góry w zawojach mgieł, jasne podnoszą głowy. Piękność jego w całej pełni przedstawia się dopiero z góry zamkowej, z tak zwanego

„Kasztelu“; choć nas żar południowego słońca w całej pełni prażył, nie żałowaliśmy drogi do tego miejsca. Widok istotnie niezwykły i wspaniały; z trzech stron góry wysokie, skaliste, najromantyczniej ugrupowane, w pośrodku kotlina obszerna, łyżkowata, sam jej środek bystry nurt Miljački z poszumem przepływa i miasto na dwie części dzieli. Sam środek miasta nad brzegami rzeczki — to Sarajewo nowe, europejskie; wyparło ono dawne lepianki tureckie na zbocza kotliny, ale i tu nawet w zdobywczym pochodzie się wciska. Część dolna miasta monumentalnymi gmachami zasłana, wśród których ratusz najpoczestniejsze zajmuje miejsce, budowla nie rozmiarami, ale cudną architektoniką w stylu bizantyńsko-maurytańskim tak imponująca, że oczu od niej oderwać nie można; części górne miasta żółtawą masą dachów tureckich zaścielone i zielenią przetykane. Ale ponad wszystko wabią ku sobie oko wieżyczki minaretów, a jest ich takie mnóstwo, że patrzącego zdumienie ogarnia; smukłe one, pełne wdzięku i gracyi, jak młode dziewice, a gdy o godzinie 12-ej huknął z twierdzy wystrzał armatni, gdy na nich pojawili się muezinowie i tęsknym, przeciągłym głosem poczęli głosić wielkość Allaha i wyznawców jego na modlitwę wzywać, gdy ich wołaniom zawtórował dźwięk dzwonów i głosy syren fabrycznych, gdy przez to ten krajobraz zabił tętnem życia, to niezawodnie każdy ślubował sobie w duszy, że tego widoku i tej chwili nie zapomni nigdy!

Życie na starą turecką modłę wre w dzielnicy Čaršija, jaką każde z miast tutejszych posiada, a które bywa magnesem dla obcokrajowców. Brud tu i zaduch, ciasnota i wrzawa, ale nikt na to nie zważa. Typy ludowe, najróżnorodniejsze stroje, sceny z życia mahometan, sklepy i towary wschodnie, kawiarnie i jadłodajnie tureckie — wszystko to przesuwa się przed oczami, jak w kolejdoskopie. Tu koncentruje się cały drobny handel i przemysł. Sklepy, a raczej budy drewniane, stoją bezpośrednio przy sobie i są zarazem warsztatami pracy; w „dučanach“ tych brakuje przedniej ściany, widać więc dobrze pracowników przy zajęciu. W jednym siedzi na ziemi z podwiniętemi pod siebie nogami szewc, we fezie na głowie, popija czarną kawę i szyje skórzane opanki (krypcie), w drugim krawcy też na ziemi materyę przykrawają, w innym piekarz placki z pieca wyjmuje, a kupujący gorące rozchwytują, dalej blacharz miedziane naczyńka do kawy wykuwa, tam pieczone mięso jagnięce, przysmak miejscowy, na kawały krają; towar tu tani, lecz lichy. Na placu targowym prze-

piękne owoce, kukurudza, zboże, placki dla ludu i rzędy koni z ładunkami drzewa i siana na grzbiecie. Z powodu górzystości terenu koń tu jest raczej zwierzęciem jucznem, niż pociągowem; i nie wiadomo, którego więcej żałować, czy tego, co przydźwigawszy ciężar bukowego drzewa, godzinami musi z niem na sobie na targu wystawać, czy tego, któremu z pod ogromnej kopy siana ledwie głowę i końce nóg widać.

Bośniackie stroje ludowe, jak wogóle u południowych Słowian, odznaczają się wielką malowniczością. Najbogatszy i najbardziej zajmujący oddział w muzeum sarajewskiem stanowią zbiory etnograficzne. Kilka sal zajmują naturalnej wielkości lalki woskowe, przybrane w okazy wszelkiego rodzaju strojów ludowych, przyczem zebrane są modele domostw, zabudowań i przyrządów gospodarczych, nawet w miniaturze przedstawione są całe sceny z życia wiejskiego. Najpospolitszy strój mężczyzn stanowią obcisłe z dołu spodnie, górą szerokie, zaś część ich, okrywająca wzgardzoną część ciała stanowi istny worek, zwisający do samych przegubów kolan i obijający się o nogi, co wywołuje wrażenie komiczne; na plecach noszą rodzaj bolera; przykrycie głowy stanowi u katolików zazwyczaj fez, u mahometan zawoje. Zdobią ubranie wyszyciami sznurowemi tak kosztownemi, że zapłata krawca u majętniejszych do 150 K. za jedno ubranie dochodzi.

Co się strojów kobiecych tyczy, jest Bośna klasycznym krajem „jupes culott'ów“ i jak u nas damskie spodeńki senzacye i zbiegowisko wywoływały, tak tu zjawiskiem podziwianem bywa właśnie spodnica. Są i spodnice, ale te, o dziwo, służą za górną część ubrania; kto widział jak nasze gosposie podczas deszczu jednę z licznych spodnic zarzucą na głowę i szczelnie ją otulą, ma obraz „bluzki“ muzułmanki. Twarzy jej nie śmie obcy mężczyzna zobaczyć i przed jego okiem gęstym ją woalem zasłania, albo go nawet obchodzi. Kiedyśmy w powrocie z „kasztelu“ samotnie idącą muzułmankę spotkali, nie wiedziała, co z sobą zrobić, wreszcie zeszła do rowu, mniej sympatyczną częścią ciała się obróciła i głowę ku ziemi schyliła. W fabryce tytoniu weszliśmy do sali, gdzie były same dziewczęta zajęte; muzułmanki, które tu siedziały bez zasłon, na nasz widok z okrzykiem twarze rękami zakryły i z sali co prędzej wybiegły. Lecz strój tutejszych muzułmanek jest jeszcze wobec strojów mostarskich swobodnym; istne tam straszydła snują się po ulicach. W tropikalny nawet upał muszą się okrywać szczelnie grubymi płaszczami, a nad głową jak

dach zwiesza się szeroki kaptur. Zagadnąć żadnej nie można, bo nietylko w milczeniu się odwróci, ale śmiałek może się jeszcze ze strony mężczyzn z dotkliwym spotkać protestem. I w domu odcięte są zgoła od świata, szczelnie pozamykane, za oknami gęstą, drewnianą kratą zabitemi; biedne to i godne litości istoty, fanatyczne wyznawczynie Proroka, który im nawet duszy odmówił, z pokorą i bez protestu swój ciężki los znoszą.

Pobożność tutejszych mahometan jest raczej formalną i zewnętrzną, aniżeli z głębi duszy płynącą; na głos muezina spieszą po kilkakroć do dżamji (meczetu) i odprawiają modlitwy, które im przepis bardziej, niż wewnętrzna potrzeba dyktuje. W fabryce tytoniu mają robotnicy mahometańskiego wyznania swoją kaplicę; ci, co na dniówkę pracują, bardzo gorliwie i długo modlitwy odprawiają, akordowi robotnicy wcale się w niej nie pokazują. To częste odprawianie wspólnych modlitw w meczecie ma jeszcze inną dobrą stronę hygienicznej natury; przed wstąpieniem w progi świątyni musi każdy z wiernych odbyć rytualne zmywanie ciała przy studni lub fontannie, jaka się w każdem podwórzu meczetu znajduje; twierdzili jednak miejscowi, że z tem zmywaniem nie koniecznie idzie w parze czystość całego ciała. Do meczetów wchodzą bez obuwia, w świątyni ustawiają się rzędami przed rodzajem ołtarza; hodża z ambony wygłasza słowa modlitwy, które wierni powtarzając, biją równocześnie pokłony, przysiadują, upadają twarzą na ziemię, wznoszą ręce, co wszystko sprawia wrażenie ćwiczeń gimnastycznych w zastępach. Niewiernych nie dość chętnie wpuszczają do wnętrza; skrupuły pobożne rozprasza dobry napiwek, a trzeba też poddawać się operacyi zdejmowania butów lub wdziewania sandałów, by prochem nie zanieczyszczać dywanów, którymi posadzka każdej dżamii bywa wyścielona.

Godną zwiedzenia jest Careva dżamia, której murem okolony dziedziniec w czasie okupacyi w twierdzę zmieniono i krwi potokami zroszono, a przedewszystkiem Begova dżamia, zbudowana w r. 1530 przez namiestnika nazwiskiem Husrev Beg, jedynego z tureckich, co dobrą po sobie pamięć zostawił, a światowej sławy zażywająca, po carogrodzkiej św. Zofii i po adryanopolskiej, trzecie podobno miejsce co do wspaniałości zajmująca. Jej fundator spoczywa w dziedzińcu świątyni obok małżonki w osobnej „turbie“. Grzebali dawniejsi muzułmanie swych zmarłych tuż koło domów, każdy ogród jest jeszcze cmentarzem, widnieją w nim pochylone starością białe słupy, turbanami zakoń-

czone; park miejski w Sarajewie, w samem centrum miasta, też z cmentarzyska tureckiego przerobiony. Po długim oporze zgodzili się na tę przeróbkę mahometańscy obywatele pod warunkiem, że wszystkie nagrobki zostaną, ale ta ozdoba parku nie podobała się innym, co noc też tych białych kwiatów ubywało, a dziś ich bardzo niewiele przypomina mniej miły rodowód tego miejsca.

Zwyczaj picia czarnej kawy pozostawili tu Turcy na pamiątkę po sobie, piją ją wszyscy i wszędzie; co krok spotykasz nędzną kawiarenkę i napis „turska kafana“; sprzedają ją i na ulicach, raczą się nią w ogrodach kawiarnianych przy cygańskiej muzyce. Wstąpiliśmy skosztować tego smakołyku; dobra i silna, lecz denerwująca, a trzeba pić ostrożnie, bo fusów nie mają zwyczaju oddzielać. Zwiedział się cygański kapelmistrz, co to za nacya taką gromadą wkroczyła i uraczył nas wieńcem pieśni polskich, w takcie czardasza granych, co prawda, lecz chęć dobrą przyjąć musieliśmy w tym wypadku za uczynek.

Miejscem wycieczek dla Sarajewian jest oprócz Ilidže miejscowość Pale; dziś jest tu zaledwie kilka domków letniczych, lecz blizkość miasta, piękne położenie i nowo wybudowana kolej, każą się spodziewać, że stanie tu niedługo wielka klimatyczna stacya. Linia kolejowa przez Pale prowadzi ku granicy Nowego Bazaru do Višegradu, linia wśród dzikich skał z olbrzymim wysiłkiem pracy fizycznej i umysłowej prowadzona, która musiała olbrzymie sumy pochłonąć, dość powiedzieć, że na przestrzeni 40 klm. 99 tuneli się znachodzi. A choć jej rentowność grubo podejrzana, ona jest, bo tego chciały względy militarne; toteż podziwiając te cuda przyrody i ręki ludzkiej, myśleliśmy równocześnie w głębi ducha, dlaczego to u nas te same względy z reguły na niekorzyść ludności wychodzą?

W tej wiązance wspomnień i wrażeń, jakie wywieźliśmy z Sarajewa, nie zwiędnie też i pamięć o rodakach. Członkowie Klubu polskiego od drzwiczek wagonu aż do odjazdu, mimo że wczesnym odbył się rankiem, bez przerwy nam towarzyszyli i im zawdzięczamy, że czuliśmy się tam, jak w domu. I na ulicach gromadka nasza rosła. Kto polską mową mówi, gdy zoczył gromadkę swoich, do niej się przyłączał; wzrosła też ona w dwójnasób, a i mundurów wojskowych nie brakło. Radcowie: Wollf i Przybylski, trzej bracia, panowie Lekki i inni, przybyli też i na nasz

skromny obiadek, a kiedym kielich im na podziękę i Izbie handlowej wychylił, padło kilka szczerych przemówień z ust naszych gości i p. Kurtović po chorwacku przemówił, a i nasz Rusin dzielnie się w swoim języku popisał. I rozumieliśmy się dobrze, nie potrzebując się do „międzynarodowego języka Słowian“ uciekać. Dowiedzieliśmy się przy sposobności, że nasza wycieczka jest drugą zbiorową wycieczką Polaków do Bośni; pierwszą urządzili technicy lwowscy.

Polaków w tym kraju spotyka się często, można ich liczyć nad 15.000. W północnej części kraju osiedliło się naszych chłopów około 13.000, do niedawnych czasów nikt nawet o nich nie wiedział. Pierwszy zwrócił na nich uwagę społeczeństwa polskiego ks. Czermiński, przed trzema laty pisał o nich w *Nowej Reformie* p. Jan Magiera, a obszerniej w *Świecie Słowiańskim*, i dopiero niedawno losem ich opłakanym zajęło się Koło polskie. Zwabieni obietnicami przyszli tu z kraju lepszej doli szukać i za ciężką pracę nad karczunkiem pustkowi, za to, że dla tutejszych ludzi byli nauczycielami rolnictwa, krzywda ich spotyka; rząd krajowy szkoły i kościoła polskiego im odmawia, toteż rozgoryczeni wrócić podobno zamierzali. Jedyny to może przykład niesprawiedliwości w tym kraju, tem przykrzejszy, że naszych dotyka. W załodze wojskowej Polaków 2.000 liczą: w każdem mieście i miasteczku zajmują oni też urzędowe stanowiska i to przeważnie wyższe. Z chlubą możemy sobie powiedzieć, że nasi rodacy odgrywają tu rolę pierwszych pionierów kultury i dziś jeszcze mają poważne znaczenie. Gdyśmy w Zenicy, koło koszar przechodzili, żołnierze kosząc trawę, nasze wiejskie piosenki nucili; na jednej ze stacyi oficerowie Polacy, pieśnią naszą zwabieni, nawiązali rozmowę i o dalsze piosenki prosili; w Jablanicy od naczelnika stacyi po niemiecku zasięgamy informacyi, a ten, zasłyszawszy naszą rozmowę, po polsku nam odpowiada. Polaków spotkasz tu wszędzie; a ilu ich złożyło tu kości na wieczny spoczynek w czasie pamiętnej okupacyi, któż to policzy?

Kazimierz Sosnowski.

(Dokończenie nastąpi).

Ze „skhadźowanki".

Kogóżby nie ciekawił problem łużycki — to zagadnienie, zniewalające najbardziej pogłębić dociekanie spraw słowiańskich, ideę słowiańską całą określić najjaśniej! Tu rozbrzmiewa w powietrzu nad naszemi głowami pytanie, w którem mieści się wszystko:

Czy Łużyczanie — drobna resztka Połabian — są dowodem, że nawały germańskiej nic nie powstrzyma?

czy też stanowić mają dowód,

że naporowi temu koniec, a zaczyna się okres słowiańskich rewindykacyj?

Łużyczanie wieki całe poddawali się biernie nawale germanizacyjnej; walczą zaś z nią zaledwie od pół wieku, a systematycznie ledwie bodaj od lat kilkunastu.

Contra spem sperantes, a jednak walczą, chociaż mimo ich wszelkich wysiłków narodowe ich terytoryum szczupleje, chociaż garstka ich tylko w porównaniu z odwiecznym nieprzyjacielem, nie wiele więcej ponad 150.000. Ci z pośród nich, którzy są ewangelikami, łatwiej się wynaradawiają; katolicy natomiast bardziej są odporni na niemieckie wpływy; dzięki im trzyma się jeszcze ten najmniejszy naród słowiański. Nieliczna inteligencya, to księża i nauczyciele, którzy ruchem całym kierują, z zaparciem siebie i poświęceniem, pomni obowiązków.

Powstać więc musi w każdym myślącym podróżniku pokusa silna, żeby zapoznać się choć nieco bliżej z tym krajem i z jego mieszkańcami.

Okolica przedstawia się z okien wagonu zrazu zbyt jednostajną, chociaż pagórkowata — ale jakżeż pomimo to zajmująca dla umysłu! Te zamożne wsie, wzorowo zabudowane, wyłącznie murowane! U nas nawet wysławiane Krzeszowice pod Krakowem nie mają takich domów, jak tutejsze wsie. W polu pracuje się maszynami przeważnie. Porządek, czystość, rzucają się w oczy. Miedze wysadzane drzewami owocowemi, a do około widać mnóstwo zarybionych stawów. Obywszy się z ogólnym widokiem, gdy poczyna się zwracać uwagę na szczegóły, dostrzega się rozmaitości wiele, a niebawem narzuca się myśl: Przecież to kraj śliczny!

Dążę najpierw do Budziszyna, stolicy Górnych Łużyc, bo tu ogniskuje się głównie działalność narodowa; tu wychodzi też naj-

ważniejszy tygodnik, *Katolski Posoł,* jako też miesięcznik literacki *Łużica.*

Budziszyn, miasto niecharakterystyczne. Mieszkańców ma 35.000; Łużyczan niemal żadnych, bo ci do miast nie ściągają. Porządnie tu i czysto; bardzo ładne, wzorowo utrzymane „Anlagen“, t. j. alee i gazony wśród ulic. Stara, samotna wieża romańska, kościół gotycki z fabryczno-tyrolskimi ołtarzami i kazalnicą rokokową; bardzo ładny ratusz na obszernym rynku — to gmachy główne. Nowsze ulice wielkomiejskie; starsze, wąskie, mają charakter krakowskiej ulicy Kanoniczej.

Ale kościół w Budziszynie ciekawy jest dla czegoś innego. Niegdyś katolicki, dzisiaj w połowie własnością protestantów. Podzielono go żelazną kratą na dwie równe połowy, katolicką i protestancką, skutkiem czego powstały dwa presbyterya; stojąc do jednego z nich twarzą, stoi się do drugiego tyłem. Chór mieści się na ścianie bocznej. Część katolicka gotycka, protestancka urządzona „modern“. Katolicy mają nabożeństwa od godziny 5 — 7, 9 — 11 i 2 — 4; w innych godzinach protestanci.

Cecha miasta wyłącznie niemiecka. Napisów łużyckich niema, ani nawet w kościele! Tem dziwniejsze to, że w Dreźnie, w katolickiej „Hofkirche“ czytałem po łużycku drukiem ogłoszone dnie nabożeństw łużyckich kilka razy do roku, a spowiedź po łużycku na każde żądanie. Na kupieckich wywieszkach spotkałem w Budziszynie jedno tylko nazwisko, które mogłoby wskazywać na pochodzenie łużyckie [1]). Teatr miejski jest oczywiście niemiecki, przedstawienia w nim codzienne, w niedzielę dwa razy, ale tylko w sezonie zimowym.

W Muzeum „serbskiem“ [2]) stroje ludowe, modele zabudowań gospodarskich, sprzęty i naczynia, wykopaliska z okolic łużyckich, trochę dokumentów niemieckich, odnoszących się zresztą do spraw

---

[1]) i jedno polskie: „Wenzkowski“. W Dreźnie (skoro już o tem mowa) mnóstwo nazwisk polskich wśród kupców i lekarzy (których nazwiska też na ulicy studyować można): Dzwonkowski, Kempiński, Bochynek, Wlodarkiewicz, Michalsky, Konetzki, Garbaty, Giżycki, Wisnewski, Maciejewski, Kublinski, Rabowsky, Goscinsky, Wenzkowski, Rostoski, Rakowicz, Puchta. Czeskich naliczyłem trzy: Hruby, Nebesky, Matusch.

[2]) Jak wiadomo, sami siebie zowią Serbami i nazwa ta jest niewątpliwie odwieczną, skoro w najstarszych źródłach łacińskich spotykają się „Sorabi“; *Świat Słowiański* dla uniknięcia dodatku: „północni, łużyccy“ — „południowi“, nazywa ich od początku krótko Łużyczanami.

niemieckich, tylko że na Łużycach. Muzeum mieści się w olbrzymim, ładnym „serbskim Domu Ludowym“ z salą, sceną, restauracyą etc.

Trafiłem w Budziszynie bardzo dobrze, bo właśnie miały się odbyć dwa zjazdy: „skhadźowanka“ młodzieży uczącej się w Niebielczycach, a w dwa tygodnie potem zjazd towarzystw w Panczycach.

„Skhadźowanka“ jest formalnie po to, żeby przedstawiciele stowarzyszeń młodzieży zdawali publicznie sprawę z całorocznej działalności i dla zastanowienia się nad „programem“ na rok przyszły; w istocie rzeczy cel jest głębszy i dalszy. Starsi biorą w skhadźowankach żywy udział w charakterze „gości“, żywszy od młodych, których starają się zapalić do sprawy łużyckiej, pobudzić ich ambicyę, przygotować w nich przyszłych przywódców ruchu narodowego. Celem więc skhadźowanek: przedłużać istnienie sprawy łużyckiej. Niełatwa to rzecz! Wszak ta wykształcona młodzież po większej części wynaradawia się, osiadając po miastach, gdzie żeni się z Niemkami. Nie brak wśród Łużyczanek dziewcząt wcale inteligentnych, ale to nie „standesgemäss“ dla takiego panicza, więc żenią się z Niemkami, żeby się dostać do „towarzystwa“.

Bądźcobądź, rok w rok, od 39 lat, odbywa się podczas wakacyi zjazd studentów łużyckich, na którym zdają oni rachunek ze swojego dorobku, starsi zaś udzielają im wskazówek, wspierają ich radą, wątpiących zapalają dla sprawy, budzą z letargu tych, którzy zdawali się być już straconymi. Zjazd ten doroczny, zwany „skhadźowanką“, odbywa się w innej co roku wsi, z reguły w takiej, gdzie Łużyczanie w mniejszości, aby dodać sił do wytrwania. Tego roku odbył się w Niebielczycach, dużej wsi pod Kamieńcem saskim, w dniach 9, 10 i 11 sierpnia.

Pomiędzy Budziszynem a Kamieńcem niema połączenia, trzeba jechać na Biskupice (Bischofswerda) i czekać tam dobrą godzinę na pociąg do Kamieńca. Miasteczko Biskupice niczem nie różni się w zasadzie od Budziszyna; nowe ulice europejsko-szablonowe, są też „Anlagen“, tylko teatru niema; ale rynek duży, imponujący, jak na miasteczko. To samo można również powiedzieć o Kamieńcu (15.000 mieszkańców), położonym naprawdę w okolicy kamienistej. W każdym razie wszystkie te trzy miasta są architektonicznie ładne, a bardzo miłe pod każdym względem. Znać, że leżą one naprawdę w Europie...

Z Biskupic do Kamieńca jedzie się pociągiem „mieszanym“: było 20 wagonów towarowych, jeden osobowy, a w nim pięciu podróżnych. Wliczając przerwę w Biskupicach, „podróż“ z Budziszyna do Kamieńca trwała trzy godziny.

Jeden z moich towarzyszów podróży wysiadł dwie stacye przed Kamieńcem; słyszałem, jak pytał po czesku, potem po niemiecku o drogę do Niebielczyc. Chciałem więc i ja wysiąść, ale było już za późno, pociąg bowiem ruszył. Wnosząc z tego incydentu, że z owej stacyi (Elstra) musi być bliżej do Niebielczyc niż z Kamieńca, postanowiłem wysiąść przynajmniej na najbliższej następnej stacyi i zdać się na instynkt, bo konduktor nie umiał mię objaśnić, gdzie leżą Niebielczyce (Nebelschütz). Wysiadłem więc we Wizie (Wiesa) i za 20 minut pieszej przechadzki, zasięgnąwszy języka u jakichś dzieci, stanąłem na miejscu, podczas gdy ów Czech przyszedł w dobrej pół godziny po mnie, szedł więc około godziny.

Wieś Niebielczyce? Przyrównać ją można do wsi czeskich, tylko jeszcze bardziej „europejska“. Niema w niej żadnych chałup, same murowane dworki, ba, piętrowe pałacyki służą „chłopom“ za mieszkanie. Jeden z nich zwłaszcza zwraca uwagę obcego przechodnia, bo wystawiony nie łużyckim zwyczajem, lecz w niemieckim renesansie. Myślałem, że szkoła lub probostwo, a tymczasem, to „prosta chałupa chłopska“.

Kobiety wiejskie Łużyc Górnych stale chodzą w czarnym stroju. Powiadają, że sprawia to wrażenie żałoby. Nie odniosłem tego wrażenia. Po pstrych z reguły strojach ludowych (typowe np. krakowskie i słowackie), te łużyckie sprawiają owszem miłe wrażenie, a nawet podobać się mogą właśnie dlatego, że jednobarwne i wszystkie jednakie. Czyż fraki mężczyzn na balu sprawiają wrażenie żałoby?

Rower jest tu po wsiach powszednim środkiem komunikacyjnym. Jeżdżą i kobiety. W Niebielczycach spotkałem całą grupę niewieścią na rowerach. Wyglądały na „skrzydlate amazonki“, bo olbrzymie kokardy czarne i wstążki, powiewające z wiatrem, mogą wydawać się skrzydłami.

Przypatrując się tedy temu i owemu, szukam oznaczonej gospody, miejsca obrad.

Niełatwo poszło z odnalezieniem jej. Pytałem po niemiecku, bo tak zresztą pozdrawiano mnie po drodze. Pokazało się, że właściciel gospody nazywa się tylko po łużycku Žureć, zresztą

S a u e r. I wszyscy oni noszą dwa nazwiska. Wogóle też charakter wsi wyłącznie niemiecki; obywatele i dzieci rozmawiają pomiędzy sobą wyłącznie prawie po niemiecku.

Wchodzę tedy do gospody Žurećа-Sauera (na wywieszce tylko „Sauer“) i zastaję przy piwie około trzydziestu młodzieńców w wieku od 15 do 25 lat: studenci z wyższego gimnazyum, seminarzyści, akademicy (z czego trzech teologów). Prawie wszyscy studyują w Pradze, ale w szkołach niemieckich, co stanowi pewnego rodzaju kompromis i dyplomacyę. Tak zresztą być musi.

Studenci ci posiadają w Pradze starą swoją własną fundacyę, „serbski seminar“ i własne stowarzyszenie, „Serbowka“, istniejące od lat 67. Powiedziano słusznie o niej: „S e r b o w k a“ b ě š e p ł ó d n e p o l o s e r b o w s t w a [1]). I tak z niemieckich szkół, z niemieckich wykładów, zgromadzają się w przejętej najlepszemi tradycyami „Serbowce“. W ostatnim roku liczyła ona 21 członków (w tem trzech teologów), urządziła 18 zebrań dla starszych studentów, tyleż dla młodszych, 8 ogólnych i dwa kursy języka łużyckiego: dla początkujących i bieglejszych w ojczystym języku członków. Zajmowano się też pracami przygotowawczemi do słownika łużycko-niemieckiego. W czytelni były i polskie czasopisma. W czerwcu urządzono w Pradze „serbski wječor“ z obrazami świetlnemi. Jak z tych luźnych danych widać, „Serbowka“ jest stowarzyszeniem poważnem, wielce pożytecznem i — jak na taką nieznaczną ilość członków — nadzwyczaj czynnem. Rzecz prosta, że i w ogólnem życiu łużyckiej uczącej się młodzieży „Serbowka“ rej wodzi, a więc i 9. sierpnia u Žurećа-Sauera ton nadawała.

Był to pierwszy dzień oficyalnych obrad tej młodzieży. Zaczęło się od finansowego ogólnego sprawozdania, poczem zdawali sprawę przedstawiciele poszczególnych stowarzyszeń i „kółek“ młodzieży. Najpierw oczywiście „S e r b o w k a“, potem lipskie „S o r a b i c u m“; budziszyńska (gimnazyalna) „S o c i e t a s S l a v o r u m B u d i s s i n e n s i s“ (sześciu zaledwie członków) i „W ł a d a“, stowarzyszenie seminarzystów-kleryków w Budziszynie (14 członków), tudzież mniejsze „kółka“ studenckie.

Nazajutrz poszedłem na sumę do kościoła „serbskiego“, t. j. takiego, w którym odbywają się kazania po łużycku. Podczas sumy było atoli kazanie niemieckie. Tem większe było moje zdziwienie, gdy padły z kazalnicy polskie słowa:

---

[1]) *Katolski Posoł*, Nr 33 z 16. sierpnia b. r.

„We czwartek o godzinie 10. odbędzie się kazanie polskie“.

Poznałem potem kążącego księdza; Łużyczanin — i tu dowiedziałem się, że wszyscy kapłani łużyccy, o ile mają w okół siebie naszych obieżysasów, uczą się umyślnie po polsku. Okazało się, że obecni na sumie robotnicy, to przeważnie Polacy. Po nabożeństwie zrobiło się koło mnie istne „zgromadzenie“; ciągle ktoś nadchodził: „ja też Polak, my też Polacy“. Najwięcej wychodźców sezonowych z Galicyi. Królewiacy osiedlają się zwykle na dłużej, zmuszeni okolicznościami; są między nimi rozbitki roku 1905., od ośmiu lat tu pozostający, głównie przy kamieniołomach (rzadziej przy hutach szklanych, gdzie znowu zatrudnieni są przeważnie Czesi). Wszyscy ci moi rodacy oczekują wojny, po czemu są nieomylne znaki, bo „nad Częstochową ukazało się pięć ognistych łuków na niebie, które pośrodku się łączyły, tworząc jednolity słup; właśnie z tego wynika, że pięć państw ze sobą będzie walczyć“.

Po obiedzie poszliśmy na stacyę, aby przyjąć Excellencyę z Rewla. Mianowicie Łużyczanin, niejaki Holan, założyciel „skhadźowanki“ przed 39 laty, wyemigrował do Rosyi, ukończył tam studya filozoficzne, dzisiaj jest dyrektorem gimnazyum w Rewlu, a kilka lat temu otrzymał tytuł rzeczywistego tajnego radcy, jest więc excellencyą i tak go tytułowano. Rok w rok przyjeżdża na skhadźowankę, a zarazem w odwiedziny do brata. Tego roku przybył z dwoma synami (w wieku lat 17 — 20) — którzy atoli zdają się być dla Łużyc straceni.

Tegoż dnia, 10. sierpnia, po południu odbyło się walne zgromadzenie publiczne, w przestronnej sali niebielczyckiej gospody, odświętnie przystrojonej. Stawili się nietylko mieszkańcy najbliższych wsi, lecz i z dalszych okolic wielu przyjechało, zewsząd pościągała inteligencya łużycka, tak przebywająca w kraju, jak i rozproszona za granicami w poszukiwaniu chleba. Goście słowiańscy zawsze są mile na „skhadźowance“ witani. Czesi nigdy nie robią zawodu, i tego roku mieli pokaźny zastęp reprezentantów, profesorów, nauczycieli, akademików. Tylko Polaków stale brak. A właśnie o nas chcieliby oprzeć się Łużyczanie, wszak są naszymi współobywatelami tuż przy Śląsku Górnym, bezpośrednimi sąsiadami od granicy saskiej! Toteż serdecznie przywitano piszącego niniejsze słowa, w mowie powitalnej niedwuznacznie wyrażając radość z obecności „gości z Polski“. To pluralis słyszeć, będąc tam samemu w pojedynkę — przykro było.

Napływało coraz więcej uczestników zebrania, aż obszerna sala gospody niebielczyckiej ledwie mogła ich pomieścić. Krzeseł ustawiono około 300, a że sala ponadto nabita była stojącymi, musiało tam być co najmniej 500 osób (takie sale miewają po wsiach!). W skupieniu przysłuchiwano się, jakie są wyniki pracy młodzieży, mającej w przyszłości objąć ster działalności narodowej.

Zabierali między innymi także często głos wieśniacy. Wzmacniano się na duchu, szukano wytycznych dla wspólnej pracy, przypominano sobie dzieje odrodzenia narodowego na Łużycach, zwracano uwagę, co myślą i piszą Niemcy o wzmagającem się uświadomieniu, starano się przewidzieć niebezpieczeństwa, by je szczęśliwie pokonać.

Punktem kulminacyjnym była niewątpliwie mowa ks. Deleńka, redaktora *Katolskiego Posła*[1]). Mówił o prawie do narodowości, jako o prawie przyrodzonem, o cząstce prawa natury, którego nie można zrzec się, które można tylko zdradzić. „My nie wybraliśmy sobie narodowości, ale Boh je nas za serbstwo powołał“. Praca dla własnego narodu, to obowiązek wobec Boga, i kto komu do tego przeszkadza, ten grzeszy. W miarę, jak mówca mówił i mowę swą rozwijał, potężniał w zapale, aż dochodził do uniesienia. Nie zapomni się tej mowy, jedynej w swoim rodzaju i wygłoszonej w sposób niebywały, nie mający nigdzie w niczem wzoru, ni przykładu. Trudno sobie wyobrazić, co za tonów dobywał mowca, gdy zaczął mówić o tych, którzy powiadają: „Ależ za pół wieku i tak nie będzie się już mówiło po łużycku“ i tem się zasłaniają. Powinność rób, nie rezonuj! Na głowy tych, którzy nie są ani zimni, ani gorący, lecz letni, rzucił werset Pisma świętego, mówiący o wypluciu z warg.

Cała tragedya łużycka w tej mowie: zapał dla sprawy — podług rozsądku sądząc — dawno przegranej. Tu się widzi, widzi się na eksperymencie, że nie z samego rozsądku rozum się składa.

Nie zdołam żadną miarą opisać wrażenia tej mowy, jakoteż wrażenia z pobytu na Łużycach wogóle, bo jest ono jakieś dziwne,

---

[1]) Pismo to, wychodzące od lat 51, drukowane było zrazu „szwabachą“, potem pół na pół gotykiem i latynką; dopiero ks. Deleńk od trzech lat usunął zupełnie czcionki „niemieckie“.

jakby niejasne, bo określić się nie da. Jakaś przykra melancholia i zarazem podziw dla tej garstki budzicieli, którzy sami muszą nieraz mówić sobie, że według wszelkich sądząc obliczeń, jednak czeka ich zagłada — a przecież chcą działać pod łużyckim sztandarem i dla Łużyc! Słów znaleść nie można na te wrażenia, jakie się tu odnosi. Jest to coś takiego, czego się nigdy zresztą nie widzi, o czem się nawet nie słyszy; brak po prostu pojęcia, z pomocą którego możnaby się wyrazić i rzecz określić. Jakgdyby być na cmentarzu, gdzie cisza, spokój, smutno, ponuro, ale — przecież tak miło jakoś.

Może to na cmentarzu wiara się budzi? wszak tu jest miejsce na cud zmartwychwstania i kto godzien, uwidzi?

A gdy się żegnano do roku przyszłego, znowu poświęcono kilka gorących słów gościom słowiańskim, szczególnie serdecznie zwracając się do „gości z Polski“ i wyrazając nadzieję, że zjawią się i na przyszłej „skhadźowance“.

Wieczorem tegoż dnia odbył się wieczorek wokalno-muzyczny, przy współudziale najlepszego na Łużycach chóru włościańskiego „Lipy“. Po przedstawieniu amatorskiem zaczęła się ochocza zabawa, na której tańczono oryginalne tańce łużyckie przy pełnej charakteru muzyce ludowej, przyśpiewując tamtejszym zwyczajem.

Ostatniego dnia wreszcie odbyła się wspólna wycieczka w okolicę, podczas której bawiono się także w gry ludowe.

„Lipa“, umilająca nasze zebrania wokalnemi koncertami, zapraszała gości na poświęcenie swego sztandaru na 24. sierpnia do Panczyc, leżących również opodal Kamieńca. Pojadę, tylko... nie chcę już być samotnym Polakiem, przedstawiać mającym „gości z Polski“. I udało się, że było nas już kilku, a nadto nadeszło do trzydziestu telegramów ze wszystkich ziem Polski. Byli sprawozdawcy kilku pism, dzięki czemu uroczystość panczycka była obszerniej opisywaną w licznych dziennikach polskich, za pomocą i oryginalnych korespondencyi i przedruków. Od pism ludowych „obieżysaskich“ z Nadrenii aż po Wilno i Kijów, wszędzie pisało się i czytało (choćby wzmiankę w skróceniu) o tym obchodzie łużyckim. Wrażenie odnieśli wszyscy jak najlepsze.

Ładny pochód do kościoła (1.200 osób, 35 stowarzyszeń), kobiety w strojach narodowych, mężczyźni w czarnych tużurkach, białych krawatach i w cylindrach, co oryginalnie się przedstawiało; ceremoniał poświęcenia chorągwi poważny, bardzo ładne kazanie okolicznościowe ks. Jana Cyřa ze Žitawy, pochód na

„Festwiese“, tam śpiewy, muzyka, przemówienia, wbijanie gwoździ w drzewce. W mowie powitalnej dostało się Polakom miejsce poczestne, powitano ich jeszcze serdeczniej niż w Niebielczycach. Również prezes „Lipy“ w mowie pożegnalnej zwrócił się w osobnym ustępie do Polaków. Zresztą nie będę się rozpisywał o tem, co już z pism codziennych znane.

Oby zajęcie się Łużycami było na następny rok jeszcze większe! Oby też rodacy, przejeżdżający latem tamtemi stronami, nie zaniechali „wstąpić“ na Łużyce, a nie pożałują tego! Przynajmniej każdy, zwiedzający Drezno, powinien sobie uważać za obowiązek odwiedzić i Łużyce. Powtarzam, że ciąży na nas dług wdzięczności wobec duchowieństwa łużyckiego za opiekę duchowną, roztaczaną nad naszą emigracyą zarobkową. Przekonałem się następnie, że gdzie kolonia polska liczniejsza, tam mają księża łużyccy przynajmniej raz na dwa tygodnie kazanie polskie, a o ile leży to w ich mocy, uświadamiają naszych wychodźców narodowo, przeciwdziałają niemczeniu się tych, którzy osiedlają się tam na stałe, nie dbając o to, że przeciążeni są pracą i obarczeni troską o przyszłość przedewszystkiem swoich współrodaków.

Niektórzy opowiadali, jak trudno im nauczyć się po polsku i skarżyli się, że nie mogą mówić kazania polskiego na pamięć, lecz muszą je sobie napisać i odczytywać.

Sami pełne ręce mając własnej roboty, jeszcze około polskiej winnicy pracują. Więc i polskie społeczeństwo, jakkolwiek pełno mając własnych ciężkich spraw i kłopotów, o sympatycznych Łużyczanach nie zapomni zapewne. Kto może, niech pomoże, a przyjaźń i uznanie niech każdy zaznaczy.

Bacznie zaś patrzeć na Łużyce trzeba: Czy oni dla nas ostrzeżeniem tego, co nas czeka — czy też balsamem otuchy, że my tem bardziej się nie damy? Czy tam dokonuje się agonia, czy początki skutecznego odrodzenia? Czy to reszta zakończenia, czy początki nowego świtu?

Odpowiedzi na to udzieli — Polska. Tak jest. Wyobraźmy sobie Polskę niepodległą, a znikną zaraz wszelkie wątpliwości. I tu również kwestya polska a słowiańska łączą się i spływają w jednę.

Czesław Koneczny.

Do kwestyi polskiej na Węgrzech.

(*Ziemia — Slovenský Dennik — Přehled — Dziennik Poznański:* Polska obrona hakatyzmu).

W *Ziemi*, tygodniku krajoznawczym, wychodzącym w Warszawie, pojawił się w numerze 36. artykuł p. t.: »W sprawie ludu polskiego na Węgrzech«. Autor jego, dr Mieczysław Orłowicz, długoletni wybitny kierownik lwowskiego Klubu turystycznego, znający z autopsyi stosunki narodowościowe na Węgrzech wogóle, a położenie polskiej ludności w szczególności, zajmuje w tej sprawie stanowisko takie samo, jak *Świat Słowiański* i to zupełnie niezależnie od nas. Jakby na przekór mowcom zabierającym głos na »Zjeździe Podhalan« w tym roku i autorom artykułów ogłaszanych w *Słowie Polskiem*, przedstawiającym stosunek Słowaków i Madiarów do polskiego ruchu narodowego w tem świetle, jakoby pierwsi byli jego zaciętymi wrogami, a drudzy serdecznymi przyjaciółmi — wykazuje faktami stan wręcz przeciwny. Niektóre szczegóły jego artykułu, będące niejako uzupełnieniem tego, co *Świat Słowiański* dotychczas pisał, podajemy tu w streszczeniu.

Gdyby to — pisze — było prawdą [że Madiarzy naszymi przyjaciółmi], to mając poparcie u rządu węgierskiego, wrogów zaś w Słowakach, gnębionych przez Madiarów do ostatnich granic możliwości i pozbawionych nietylko cienia władzy, ale nawet możności wywierania jakiegokolwiek wpływu na życie publiczne, nie potrzebowalibyśmy się bronić i wogóle moglibyśmy być spokojni o losy 200 tysięcy naszych rodaków na Spiszu i Orawie.

Przy obecnym stanie rzeczy, ucisk Polaków na Śląsku Cieszyńskim przez Niemców jest prawie że rajem w porównaniu z położeniem Polaków na Spiszu pod rządami Madiarów — naszych przyjaciół... na odległość.

Nie Słowaków tu wina. Od Słowaków na Węgrzech literalnie nic a nic nie zależy. Bo wszakże nie Słowakiem jest biskup spiski Parvy, a i wśród kanoników kapituły spiskiej niema ani jednego Słowaka; nie Słowakami są żupani, urzędnicy sądowi, polityczni, skarbowi, profesorowie i nauczyciele, wogóle ludzie, w których ręku spoczywa władza na Spiszu i Orawie, ale Madiarami z pochodzenia, albo gorszymi jeszcze zmadiaryzowanymi renegatami. I pod rządami tych-to Madiarów, a nie Słowaków, oraz ukutych przez nich ustaw i rozporządzeń, nie wolno Polakom mieć szkół, czytelń, zebrań, odczytów, zwracać się do urzędów w swym języku.

Kto bawiąc na Słowaczyźnie, przypatrzył się uciskowi Słowaków i całkowitemu skrępowaniu ich przez Madiarów, ten nie uwierzy w wywody *Gazety Podhalańskiej* o szkodliwym wpływie i potędze Słowaków! Wszystkie szkoły rządowe są czysto madiarskie, prowadzone z wyraźnym celem madiaryzacyi; nawet na pauzach nauczyciele, czego dr Orłowicz sam nie raz był świadkiem, zaprzątają dzieci uczeniem

się madiarskich pieśni. Dziś w polskich wsiach Spisza starsi mówią do obcego i pozdrawiają go po polsku — dzieci po madiarsku; uważając zaś ten język za coś wyższego, same nim także między sobą rozmawiają.

Np. w Lubowni, mieście historycznie i etnograficznie polskiem, wystarczy przejść się i zobaczyć same madiarskie napisy na ulicach i nazwiska na szyldach: (autentyczne) Dlugolinszky, Cserneczky, Kaveczky, Kacsor, a następnie pomówić z owymi obywatelami, by się przekonać o postępach madiaryzacyi.

Tak samo w Starej Wsi. Tu dr Orłowicz nocował umyślnie u brata znanego kupca z Zakopanego, Słowika; ten nazywał się Szlovik, po polsku mówił niechętnie, a w domu słyszałem jedynie mowę madiarską. A przecież Stara Wieś od galicyjskiej granicy zaledwie dwa kilometry!!

Gdyby była możność pracy, polskość wnet odzyskałaby tu należne sobie prawa. Lecz polskość szykanowana jest na każdym kroku; pism z Galicyi nie przepuszcza się. Niedawno kilka ludowych pism galicyjskich ofiarowało wiele bezpłatnych numerów dla rodaków ze Spisza i Orawy; po dłuższym czasie okazało się, że żaden nie doszedł. Biblioteczki polskie, donoszone tajnie, sprowadzały na chłopów, u których były przechowane, szykany administracyjne takie, że książki okazały się dla nich ciężarem. *Gazeta Podhalańska* za cenę dopuszczenia jej na Spisz i Orawę, podjęła się roli zohydzania Słowaków i takiego madiarofilstwa, że znającemu stosunki aż przykro ją czytać — nie okupiła jednak tem nawet przychylności władz węgierskich, a jeden z ostatnich numerów został przez nie skonfiskowany!!

Nietylko dra Orłowicza samego, ale i zbiorowe wycieczki Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie zatrzymywano kilkakrotnie w żandarmeryach, poddając ich uczestników osobistej rewizyi!!

Pewnego razu, jadąc do Orawskich Zamków, odezwał się dr Orłowicz za Suchą Horą do konduktora węgierskiego po polsku; odpowiedział mi po niemiecku, że nie rozumie. Po chwili mrugnął na mnie i wywołał na ganek wagonu, aby mi zakomunikować i to po polsku, że zna dobrze język, ale że mu nim z pasażerami mówić nie wolno! Bojąc się być podsłyszanym, rozmawiał ze mną po polsku jedynie w czasie biegu pociągu, gdy turkot głuszył słowa; na przystankach odzywał się po niemiecku.

Garść tych wyjaśnień, zaczerpniętych wyłącznie z osobistej obserwacyi, kończy autor uwagą: Zdaleka mogą się nam Madiarzy wydawać przyjaciółmi; znając Spisz, widzi się, że to wilki w owczej skórze.

Oto garść faktów. Któż im zaprzeczy? Jeżeli zaś ktoś z takich faktów wysnuwa wniosek, że Madiarzy są nam przyjaciółmi — pogratulować logiki...

* * *

W sprawie polskiej na Górnych Węgrzech zabrał głos *Slovensky Dennik* w Nrze 163. i słusznie dworuje sobie z tych, którzy „pracę“ narodową wśród górali polskich po tamtej stronie Tatr zaczęli od wymyślenia kwestyi: „Z kim iść i przeciw komu“ i od urabiania

opinii polskiej przeciw Słowakom (czy przypadkiem 'nie miało to być zarazem końcem „pracy“, jako jedyny prawdziwy jej powód i cel?!). Pisał tedy *Slovensky Dennik*: „Polacy popadli w fałszywą sytuacyę... Spodziewali się i liczyli się też z tem na pewno, że ...natrafią na opór i wrogą postawę wśród Słowaków... Przyszli do nas zajmować pozycye i rozglądają się, gdzie nieprzyjaciel? ...Ku wielkiemu zdumieniu swemu nie natrafili na żadną nieprzyjaźń wśród ogółu słowackiego. Słowaczyzna z radością dowiadywała się, że zgłosili się pracownicy, którzy będą uświadamiać zapadłe wioski, popierać je kulturalnie i ekonomicznie i stawiać wśród tego ludu tamę przeciwko madiaryzacyi, wciskającej się do szkół, do kościołów i całego życia publicznego“.

O lwowskiem madiarofilstwie pisze *Slovensky Dennik*: „to przyjaźń bankietowa, toastowa, teatralna, bez jakichkolwiek podstaw realnych. Prasa słowacka, znając rzeczywisty stan rzeczy, przyjęła te frazesowate wylewy „braterstwa“ co prawda z ironią — i miała do tego prawo“. Co do *Gazety Podhalańskiej*, zarzuca jej, że z góry chciała nadać całej sprawie cechę antysłowacką, nie znając zgoła terenu, ani rzeczywistych stosunków; że wpierw określono program polityczny, zanim poczyniono własne studya. Pociesza się jednak: „Ale tam jest przynajmniej szereg ludzi poważnych, którym zależy istotnie na losie tych krain a nieznajomość stosunków nie będzie zapewne trwać wiecznie“. Trudność stanowią Polacy zmadiaryzowani: „Madiaroni z Orawy starają się wzbudzić nieufność do nas, a na Podhalu wzmagać kierunek madiarofilski. Być może, że osięgną jeden cel, a mianowicie, że Polacy będą umyślnie zamykać oczy przed rzeczywistemi stosunkami i że oryentacya ich rozwijać się będzie nader powoli“... „Długo jeszcze potrwa, zanim zrozumieją, że wszelka praca nad uświadamianiem narodowem i postępem kulturalnym ludu niemadiarskiego uważa się na Węgrzech za występek i podburzanie. Doświadczą tego na własnem ciele, bez względu na wszelaką przyjaźń i politykowanie. My nie żądamy od Polaków niemożliwości: chcemy, żeby wprzód poznali stosunki, a tylko dopiero potem sądzili, żeby nie wyszukiwali imaginacyjnie nieprzyjaźni tam, gdzie jej niema — a reszta sama się już „znajdzie“.

* *
*

W sprawie polskiej na Górnych Węgrzech pisał praski *Přehled* w Nrze 50.: „Czasopisma słowackie obwieściły w ostatnim czasie wszystkie wraz, że nieufność polska jest bezpodstawną, że Słowacy nie pragną nikogo zesłowaczyć, a ze względów politycznych mogą tylko powitać z ochotą akcyę około uświadamiania narodowego Polaków węgierskich. Podobnież czeski ogół zajmie niewątpliwie to samo stanowisko. Nikt z nas Czechów nie chce i z pewnością też nie będzie pracować nad wynaradawianiem Polaków na Węgrzech; o tem może być ogół polski głęboko przekonany. Kwestya ta nie może wyjść na złe wzajemnym stosunkom nas Czechów i Polaków. Przeciwnie. Jeżeli Polacy będą dbać o swych rodaków na Węgrzech bardziej niż dotychczas i wezmą ich w obronę przeciw Madiarom, wytworzy się z tego tylko nowa sposobność do wspólnej czesko-

polskiej działalności. My powitamy tę sposobność tem radośniej, im przykrzejszem było dla nas dotychczas, że Polacy w znacznej większości nie okazywali aż po dzień dzisiejszy ani zrozumienia, ani sympatyi dla naszej działalności na rzecz naszych rodaków na Węgrzech, Słowaków, a przeciwko gwałtownej madiaryzacyi niemadiarskich narodowości na Węgrzech. Jeżeli kwestya polska na Węgrzech wywoła w tem przewrót, będziemy musieli być wdzięczni za jej wysunięcie".

* * *

Dzięki dyletantyzmowi politycznemu kwestya polska na Górnych Węgrzech zeszła na jakiś czas (nie będzie to długo trwało) na zbocza, wypychana przez... madiarofilstwo! Do punktu kulminacyjnego (jak dotychczas) doszedł kult madiarstwa w lwowskiej *Rzeczypospolitej*, obmyślającej nawet nowe teorye polityczne celem usprawiedliwienia madiarofilstwa. Nie mieliśmy zamiaru polemizować z tem, ale bardzo się ucieszyliśmy, że poza *Światem Słowiańskim* nowa dla Polaków logika polityczna znalazła odprawę; dlatego cytujemy poniżej dosłownie artykuł wstępny z Nru 222. *Dziennika Poznańskiego:*

Polska obrona hakatyzmu.

(Węgry i ich sprawy w prasie polskiej).

Wróciwszy z wywczasów letnich, wyczytałem w Nrze 101. lwowskiego dwutygodnika *Rzeczpospolita* artykuł pod w nawias ujętym tytułem. Zdziwił mnie on o tyle, że jestem pilnym czytelnikiem tego pisma i cenię w niem nietylko temperament, z jakim jest redagowane, ale przedewszystkiem gorące i zazwyczaj rozumne uczucie patryotyczne, które mu przyświeca. Są zaś pewne rzeczy, których mówić nie wolno, jeśli się nie chce wykroczyć przeciw ogólnej linii myśli narodowej polskiej, która po wszystkie czasy była w swych rdzennych przejawach jednoznaczną ze sprawiedliwością w stosunku do innych narodów.

Pan C. R., utajony autor tego artykułu, daje w nim najpierw wyraz gwałtownemu oburzeniu na myśl, że jest „pewne pismo, wydawane po polsku" (zapewne *Świat Słowiański?*), które „nie waha się naszej męczeńskiej doli narodu dziejowego, spychanego na stopień materyału plemiennego, zestawiać z losem podniecanych z zewnątrz Słowaków lub Chorwatów". Zaraz w tem pierwszem zdaniu uderzają dwa osobliwe kryterya: zasadnicze odróżnienie „narodu dziejowego" od „materyału plemiennego" i insynuacya, że Słowacy i Chorwaci nie są zdolni do własnych aspiracyi narodowych, ale ulegają li tylko ościennym podszeptom. Kubek to w kubek hakatystyczna metoda, stosowana do spraw polskich, byle tylko zamiast terminu „materyał plemienny" wstawić inny: m i n d e r w e r t i g e N a t i o n i byle całą „propagandę wielkopolską" przypisać wyłącznie podszeptom idącym z Galicyi i Królestwa, które nie dozwalają rzekomo Wielkopolanom dojść do apercepcyi, co to za raj być członkiem państwa o chwalebnej przeszłości, tłustej teraźniejszości i bezpiecznej przyszłości.

„Uciskanie nas w zaborze pruskim — pisze dalej p. C. R. — przez drapieżnych grabieżców krzyżackich, wczorajszych hołdowników naszych, jest wedle takich wywodów temsamem, co dążność Węgrów do utrzymania całości swej państwowości, uświęconej tysiącletniem trwaniem“. Oto znowu subtelna dyferencyacya, która w dziwnem świetle wystawia logikę p. C. R.! Na podstawie zacytowanego ustępu dochodzimy bowiem do wniosku, że dla niego istnieją dwa odrębne typy ciemięzców: typ Herrenvolk, uprawniony do ucisku, do którego łaskawie zalicza Węgrów i drugi, pośledni, niejako uzurpujący swoją przemoc, „wczorajszych hołdowników naszych“ Prusaków i — śmiemy tuszyć — także Moskali. Ale zapomina on przytem najzupełniej, że „wczorajsi nasi hołdownicy“ w jednem przynajmniej nie różnią się od Węgrów, t. j. że zasłaniają wszystkie swoje gwałty i bezprawia właśnie tą samą „dążnością... do utrzymania całości swej państwowości“. Wszak pod tem hasłem podjęli wywłaszczenie.

Oburza się także p. C. R. na porównanie pisemka słowackiego, wydawanego przez rząd węgierski, z „wydawaniem sławetnej gubernatorskiej *Oświaty* w Warszawie“. „Więc znów — woła wielkim głosem — my mamy być czemś takiem względem Rosyi, czem Słowacy — w gruncie rzeczy polityczni(?) Węgrzy — względem Węgrów. Szkoda, że p. C. R. nie był trzy tygodnie temu na zamku poznańskim, bo byłby się dowiedział z ust najpowołańszych, czem mamy być wobec Prus — z pewnością tem samem, czemby Węgrzy chcieli w stosunku do siebie uczynić wszystkich swoich słowiańskich poddanych. Na nic się więc nie przyda p. C. R. zestawiać ekspansyę węgierską z polsko-jagiellońską, skoro między Jadwigą, Jagiełłą, Zygmuntem Augustem a Tiszą, Lukacsem, Khuenem — jest, Bogu dzięki, dla nas odstęp znaczny, tak znaczny, jak między Unią Lubelską a cuvajadą.

„Słowacy — wywodzi dalej p. C. R. — Rusini, Serbowie węgierscy a i Chorwaci, acz na innej podstawie, mają wspólną przeszłość kulturalną z Węgrami; około połowa szlachty węgierskiej pochodzi z tamtejszych Słowian; większość Słowaków, a omal nie wszyscy Rusini węgierscy, gdy dosięgną wyższych warstw, uważają się za Węgrów. Rusini w powstaniu Rakoczego, toczonem na początku XVIII. w., z własnego popędu zaofiarowawszy się, dzielnie walczyli o niepodległość wspólnej ojczyzny węgierskiej“. Jakież to wszystko przekonywujące! Idea narodowościowa obudziła się przecież, jak wiadomo, na dobre dopiero w XIX. w. i wtedy to zaczęło się ostateczne etnograficzne różniczkowanie plemion, zamieszkujących Europę. Nic dziwnego tedy, że przedtem madiaryzowali się węgierscy Słowianie, jak niemczył się nasz Śląsk i całe Czechy. Każdy naród ma swoich Podbielskich i Radolinów, a z tego, że Rusini w początku XVIII. w. walczyli o niepodległość Węgier, nie może wynikać w początku XX. — konieczność gnębienia innych Słowian węgierskich.

„Ostatnimi dziesiątkami lat — czytamy w dalszym ciągu artykułu — ruble i agitacya moskiewska burzą Słowian węgierskich przeciw rządowi. Z tą działalnością ze Wschodu współdziałają Czesi, którzy usilnie i w pewnej mierze ze skutkiem zabiegają koło pozyskania Sło-

waków dla siebie, pracując nad kulturalnem i politycznem zczeszczeniem tego ludu, bliskiego im mową. Wrzenie przeciwpaństwowe Słowian węgierskich jest sztuczne, narzucone, nie płynące samo z siebie, z istotnych, nieodpartych potrzeb. Więc ów rzekomy ucisk węgierski jest obroną własną przed wichrzeniem z zewnątrz. Niezawodnie działoby się lepiej Słowakom, Chorwatom i innym narodowościom na Węgrzech, nie budziłyby podejrzeń węgierskich ich żądania językowe, gdyby nie ciążyło na nich uzasadnione i ciągle stwierdzane podejrzenie o dążności nietylko własne, ale panslawistyczne przeciw państwu". Zapewne — zauważymy od siebie — i Polakom w Poznańskiem działoby się lepiej, gdyby na nich nie ciążyło „podejrzenie o dążności własne" (— panslawistyczne zarzucają im tylko hakatyści). Jeżeli pewien poseł chorwacki dowodził Węgrom w r. 1907. w sejmie peszteńskim, że Chorwaci nie są Węgrami (co srodze gorszy naszego madiarofila), to powiedział prawdę, która w oczy kole nietylko pruskich i rosyjskich, ale i węgierskich czynowników.

P. C. R. ostrzegając nas, abyśmy nie litowali się nad węgierskimi Słowianami, osobliwego się chwyta argumentu. Oto wywołuje nam przed oczy cień Björnsona, co niegdyś jak Filip z Konopi wyrwał się i natarł na nas, jako na prześladowców Rusinów. Björnson pokpił głową, bo był stary i łatwowierny, ale czy p. C. R. gniewa się także na zagranicznych uczestników ankiety Sienkiewicza o to, że się mieszają w nieswoje sprawy?

Że Węgrzy są bogatszym od Słowian „narodem... gospodarczo opartym nietylko na dziewięciu milionach Węgrów etnicznych, lecz na dwudziestu blisko ludności całego państwa", tem lepiej dla nich, tem gorzej dla Słowian. Ale dziwię się p. C. R., że z tej przewyżki ekonomicznej wywodzi on ich prawo do hegemonii. Niechże lepiej nie stosuje swej obosiecznej teoryi na terenie pruskim, austryackim, a nawet rosyjskim!

„Politykę swą wewnętrzną — tak kończy p. C. R. gros swoich wywodów — prowadzą Węgrzy stanowczo, ale to jeno na uznanie zasługuje. Wprawdzie zdarzają się wybryki zaciekłości patryotycznej, ale te są wynikiem nie systemu, lecz nadmiaru gorliwości niektórych piastunów władzy, co tłumaczy czasem krewkość węgierska, czasem nizkie karyerowiczostwo, ale przedewszystkiem następujący rys charakteru węgierskiego, opisany przez Węgra:

„Stosunkowo niema na Węgrzech więcej szowinistów, niż w każdym innym kraju. Przeciwnie, narodowem znamieniem Węgrów jest osad smętku, łatwo dający się skłócić. W niższych warstwach narodu objawia się on skłonnością do melancholii, przebijającej nawet w radości; u inteligencyi zaś przybiera postać silnego pesymizmu. W żadnym kraju nie popadło tak wielu jego synów w rozpacz, ilu na Węgrzech. Wykształcony Węgier w chwilach cichej wzgardy dla siebie skory jest jeszcze nazwać się Azyatą i dręczy go przewidywanie upadku narodu. Dlatego tak konwulsyjnie chwyta się palladyum swego języka:

„dopóki się mówi po węgiersku, dopóty jeszcze istnieją Węgry“. Czują się Węgrzy odosobnieni, osaczeni zewsząd, zagrożeni.

Czytelnikom *Dziennika Poznańskiego* lepiej, niż komu innemu, znanym jest interesujący typ melancholicznego hakatysty, Jeremiasza z *Posener Tageblattu* lub *Schlesische Zeitung*, który nawet w radości się smuci, bo np. niedość mu uchwały o wywłaszczaniu, skoro on pragnie jej zastosowania, niedość mu czterech majątków wywłaszczonych, skoro on pożąda ich aż czterechset — i który swoją rozpacz patryotyczną koi kosztem polskiej skóry. I pyszny jest ten Węgier, który, aby poczuć się Europejczykiem, musi najpierw dobrać się do Słowianina! Przypomina on mimowolnym humorem innego swego współrodaka, który zwłaszcza w Wiedniu dużym cieszy się sukcesem — anegdotycznego Mikoscha!

* *
*

W anneksach do swej dyakryby pro Hungaris zastanawia się p. C. R., dlaczego lepiej nie tykać węgierskiego bagna. Raz dla tego, że Węgry nie sprzyjają Rosyi. Ależ! panie C. R.! — odpowiemy — wszak i żydzi Rosyi nie sprzyjają, a Pan zapewne nie zdobędziesz się na potępienie bojkotu w Królestwie! — Po drugie, by nie sprawić przyjemności Czechom, którzy są panslawistami, a w dodatku półgłówkami (!). Czy znów Czesi są takimi głupcami w polityce, jak to się wydaje p. C. R., to może się komuś, który myśli nie tak secesyjnie, jak p. C. R., zdawać wątpliwem; a zresztą nie jest zaraz panslawistą ten, kto potępia węgierskie metody rządzenia, jak, dajmy na to, nie jest wszechniemcem, kto ma kult niemieckiego porządku. Wreszcie odradza p. C. R. sympatyzowanie z uciśnionymi Słowianami na Węgrzech ze względu na austryacki centralizm, nie sprzyjający samoistności Węgier. Dziwny to traf, że w panu C. R. obudził się pod koniec artykułu autonomista czy federalista, i ładnie wyglądałaby federacyjna Austrya, utworzona w myśl jego wskazań politycznych! Nie sprawiedliwość miałoby za fundament to państwo, ale kompromis, na mocy którego wolno byłoby kilku narodom austryackim załatwić się radykalnie z kilkoma innymi. Życzyć tylko należy w takim razie autorowi artykułu, aby nam zagwarantował i dowiódł, że wśród uprzywilejowanych ogniw tej federacyi będą Polacy, a nie, dajmy na to, Rusini. Sądzę bowiem, że w przeciwnym wypadku zmieniłby on swój pogląd na istotę federacyi.

Że Polak i Węgier byli pono niegdyś „dwa bratanki“ — ten sentymentalny wzgląd nie powinien nam zamykać oczu na bardziej realne cele. Jako Polacy musimy pragnąć egzystencyi Austryi i związanych z jej bytem swobód naszych w Galicyi. Wojna bałkańska i towarzyszące jej zajścia pouczyły nas dostatecznie, do czego prowadzi i jak mści się na Austryi słowianożercza polityka Węgier. Tylko ślepy i głuchy może po cuvajadach zachwalać tę politykę lub jej bronić. A najmniej bronić może jej, mojem zdaniem, Polak, który ma swoich Cuvajów nad Wisłą i Wartą. *X.*

IV-ty Katolicki Zjazd słowieńsko-chorwacki w Lublanie

należy do tych nielicznych zjazdów oficyalnych, na których praca przeważa nad frazeologią. Trwał on dni pięć, od soboty 23. sierpnia do czwartku 28. sierpnia. Poprzednie zjazdy katolickie, jakie miały miejsce w Lublanie, były zupełnie odmiennego charakteru: były raczej lokalnemi, niż znaczenia ogólnego. Dopiero przedostatni zjazd lublański w roku 1906., trwający trzy dni (26 — 28 sierpnia) przybrał cechę chorwacko-słowieńską, a obecny stał się już zjazdem ogólno-słowiańskim, zjazdem Słowian katolickich.

O jego znaczeniu i doniosłości pisała w swoim czasie, pod koniec sierpnia, prasa wszystkich trzech zaborów obszernie. Radując się, że dziennikarstwo polskie zajmuje się coraz częściej starannie sprawami słowiańskiemi, poprzestajemy tu na samej kronice zjazdu, która może kiedyś być przydatną:

Już w przeddzień uroczystości, w piątek, miasto przybrało odświętny charakter. Ulice, gmachy publiczne krajowe (lecz nie miejskie!) i prywatne zostały przystrojone chorągwiami o barwach narodowych, krajowych i miejskich. Przez cały dzień nadchodziły nadzwyczajne pociągi, przywożące gości z Czech, Moraw, Styryi, Dalmacyi i z Polski. Przybywających witano owacyjnie, ale najserdeczniej i najokazalej przywitano Polaków. I nic dziwnego, bo po raz pierwszy zawitali na ziemię słowieńską w znaczniejszej liczbie. Przybyło ich przeszło 80 pod wodzą księcia Władysława Sapiehy, brata księcia-biskupa krakowskiego.

Nazajutrz po uroczystej mszy św., którą odprawił ks. kan. Dr A. Merhar o godz. 7-ej rano; w wielkiej sali »Union« prezes »Danicy« p. Basaj otworzył dzień pierwszy zjazdu zainaugurowaniem zebrania kształcącej się młodzieży. Podobnie bowiem, jak w zjazdach poprzednich, tak i teraz pierwszy dzień oddano sprawom młodzieży. Cały dzień odbywały się ich zebrania, posiedzenia, konferencye i narady organizacyjne. Na zebraniu uroczystem, które trwało od 8½ do 12-ej rano i potem znów od 2½ do 8-ej wieczór, wygłoszono cały szereg rzeczowych referatów i uchwalono odpowiednie rezolucye. Poruszano tak żywotne tematy, jak »Student-katolik« (teol. Rupnik), »Praca młodzieży wśród ludu« (iur. Zvokelj), »Doniosłość pracy kresowej (iur. Zavadlal), »Katolicyzm i literatura« (fil. Koblar). Wieczorem komersem uczciła młodzież przybyłych gości słowiańskich. Nazwiska tych, którzy zaszczycili sobotni wieczór swą obecnością, cytować niemożliwem ze względu na brak miejsca. Na przewodniczącego honorowego komersu powołano prezesa »Orłów«, Dra Lovra Pogačnika. Po przywitalnem przemówieniu tegoż witali zjazd w podniosłych słowach zastępcy narodów katolicko-słowiańskich. I tak, w imieniu pobratymczych Chorwatów przemawiał znany publicysta, adwokat Dr Markulin, za Czechów prof. Zahradniček i ks. Tauber, za Polaków

ks. prałat Kaczyński, a za młodzież polską p. St. Koneczny, nadto w imieniu Polek mówiła p. Zofia Kawala. P. Tuhtar z Westfalii przyniósł pozdrowienie od robotników słowiańskich, zatrudnionych w Niemczech. Imieniem episkopatu życzył powodzenia w pracach zjazdu i witał uczestników arcybiskup-koadjutor zagrzebski ks. Dr Bauer i książę-biskup lublański ks. Dr Jeglič, a imieniem kraju marszałek krajowy Dr Ivan Šusteršič, poseł do Rady państwa i sejmu kraińskiego. Przy dźwiękach »Słowieńskiej Filharmonii« i wśród toastów przeciągnął się komers do rana.

Niedziela była dniem właściwych uroczystości i zjazdowych manifestacyj. Zrana o 7½ zebrali się uczestnicy zjazdu na wyznaczonych miejscach, by na dany znak wyruszyć wielkim, imponującym pochodem na mszę św., odprawioną pod gołem niebem na Kongresnim Trgu. Mszę św. polową odprawił ks. arcybiskup Dr Bauer. Potem ks. biskup lublański odczytał formułkę ofiarowania się Najśw. M. Bożej Niep. Pocz., którą wszyscy obecni jako rodzaj przysięgi w skupieniu powtórzyli. Na trybunach honorowych, jako honoratiores, zasiadło 12 książąt Kościoła (eksc. arcybiskup Dr Fr. Sedej, metropolita gorycki; książęta-biskupi: Dr A. Jeglič z Lublany i Dr M. Napotnik z Lawantu; biskupi Garič z Banjaluki, Gjivoje ze Splitu, Dr Kaltner z Gurku, Dr Karlin z Tryestu, Dr Krapac z Diakowa, Dr Mahnič z Krku, Dr Marčelić z Dubrownika, Fr. Mišić z Monastyru i Dr Šarić, sufragan sarajewski). Z arystokracyi, licznie zastąpionej, wymieniam ks. Windischgraetzów i hr. Ol. Mocenigo. Władzę państwową reprezentowali prezydent rządu krajowego eks. bar. Schwarz, radcy dworu hr. Chorinsky i Laschan i inni, a autonomiczną między innemi marszałek krajowy Dr Šusteršič i jego zastępca ks. Dr Lampe, oraz wiceprezydent Rady państwa Pogačnik. Również i Polacy wśród honoratiorów byli dobrze zastąpieni. Wśród wielu znanych nazwisk znajdziemy i takie, jak ks. Zimmermana, prof. wszechnicy Jagiellońskiej; ks. Pawelskiego T. J., red. *Przeglądu Powszechnego;* ks. Dutkiewicza, rektora seminaryum biskupiego z Tarnowa, ks. Borodzicza, znanego autora pamiętników „Na wozie i pod wozem“; p. Grabowskiego, red. *Gazety Warszawskiej,* p. inżyniera Żeleńskiego, zasłużonego twórcy u nas przemysłu witrażowego.

Pochód sam był olbrzymią, poważną manifestacyą uczuć religijnych i narodowych. Wzięło w nim udział 36 tysięcy osób, postępowało w nim 24 grup z 112 chorągwiami i z 9 orkiestrami. Na placu podczas mszy św. zgromadziło się 42 tysiące pobożnych. Nic więc zatem dziwnego, że cała prasa katolicka, i to nietylko słowieńska, ale słowiańska, a nawet niemiecka, nazywa tegoroczny zjazd lublański prawdziwym tryumfem myśli katolickiej. — Po mszy św. wyruszono znów pochodem na wielkie manifestacyjne zebranie, które o godz. 11. otworzył uroczystem przemówieniem ks. kanonik Dr Gruden, dusza zjazdów katolickich słowieńskich. I znowu nastąpiły pozdrowienia przyniesione od bratnich wiarą narodów słowiańskich. Za Polaków wita i przemawia książę Sapieha, za Czechów poseł Navratil, a za Chorwatów prof. uniw. Barac.

Przynosi też pozdrowienie od kapłanów misyjnych słowiańskich O. misyonarz Kovač z Chin. Na wniosek biskupa lublańskiego zostaje wysłany telegram do Ojca św., a na wniosek marszałka krajowego i prezydenta rządu krajowego telegramy hołdownicze do sędziwego monarchy i następcy tronu. Po południu o 4-ej miały miejsce popisowe publiczne ćwiczenia „Orłów“ słowieńskich, chorwackich i czeskich, a wieczorem odbył się uroczysty bankiet, połączony z koncertem i festynem.

Następne dnie były dniami rzetelnej, owocnej pracy. Od rana do wieczora odbywały się posiedzenia i zebrania najprzeróżniejszych sekcyj i komisyi. Podzielono się w obradach na dwie grupy, na oddział słowieński i chorwacki, by tem intenzywniej można było odbyć przegląd swoich sił, swojej pracy i działalności i tem swobodniej zastanowić się nad planami na przyszłość. Zasadniczo podzielono się na pięć sekcyj w każdej grupie; na sekcye: życia religijnego, pracy charytatywnej, gospodarską, socyalno-prawną i kultury chrześcijańskiej. Nie było zupełnie przedmiotu ni sprawy ważniejszej, którejby nie poruszano czy to w odczycie lub referacie, lub też w dyskusyach i pogadankach. W posiedzeniach i obradach brały udział najwybitniejsze jednostki na polu nauki lub pracy społecznej. Największe zainteresowanie wzbudziły między innymi następujące referaty: ks. Dr Grudena: „Opieka nad małoletniemi“; radcy komercyalnego i posła do Rady państwa Povšego: „Organizacye zawodowe gospodarzy rolnych“; Dr Mohoriča: „Kolonizacya wewnętrzna“; bibliotekarza uniwersytetu zagrzebskiego Dr Deželića: „Katolicka beletrystyka i katolickie organizacye literackie“; sędziego Dr Lavrenčiča: „Hasla katolickie a życie publiczne“; Dr Fr. Stelègo, znanego przyjaciela Polaków i miłośnika naszych zabytków: „Sztuka na tle stosunków słowieńskich“; Dr Adlešiča: „Miłość do ziemi ojczystej“; prof. Galoviča: „Nauczyciel i katecheta“; wicemarszalka ks. Dr Lampègo: „O reprezentacyach autonomicznych“. Wymieniać tytuły wszystkich ważniejszych odczytów nawet w części nie zamyślamy, dość tylko, że nadmienimy, iż nie pominięto ani jednej dziedziny życia publicznego: i praca oświatowa i kresowa, sprawa włościańska, robotnicza i rękodzielnicza, wychodźstwo, opieka nad młodzieżą szkolną, nad rekrutami, nad robotnicami, handel ziemią i uprzemysłowienie kraju, troska o zdrowie i tanie mieszkania były dokładnie poruszone. Nadto niezależnie od sekcyj odbywały się walne zgromadzenia różnych towarzystw i związków, rozmaite kongresy fachowe i organizacyjne. Również i Polacy odbyli swe posiedzenie (w poniedziałek), na którem wygłosił interesujący i świetnie opracowany odczyt o temacie tak ważnym, a u nas zaniedbanym, jak „Katolickie Towarzystwa robotników polskich“ ks. prof. Zimmerman. W żywej dyskusyi wzięli udział i Słowieńcy, a wśród wielu i książę-biskup lublański Dr Jeglič i marszalek krajowy Dr Šusteršič. Co wieczora zgromadzali się uczestnicy na uroczystych wieczorkach i festynach. Tutaj też miały miejsce wynurzenia wzajemnych sympatyj, odźwierciedlające się natychmiast w owacyach i okrzykach ogółu. I znów możemy się pochlubić, że nasza delegacya była zawsze — jak w pochodzie, tak i na wieczornicach — najhuczniej i najserdeczniej witaną.

Uroczystości zjazdowe zakończyły się w środę uczczeniem pamięci zmarłych uczestników poprzednich zjazdów i pożegnalnem zebraniem i bankietem. Na nim dziękował gościom za tak liczne przybycie i żegnał ich w pięknych słowach imieniem komitetu organizacyjnego Dr Pogačnik; ks. biskup lublański wyraził radość, że dnie zjazdu nie pozostały bez owoców i to owoców ważnych, bo dających niejedną wskazówkę na przyszłość. Z Chorwatów przemówili Dr Deležić i Dr Šimrak, nazywając te dnie pierwszemi chwilami szczerego braterskiego zespolenia się Chorwatów i Słowieńców, i dziękując za umożliwienie odbycia zjazdu Chorwatom, którym tego na własnej ziemi czynić nie wolno Polacy przez usta księcia Sapiehy i p. inżyniera Żeleńskiego. żegnali dnie zjazdu, zapewniając, że zawsze katolicka Polska będzie stać przy boku katolickiej Slowenii. O godz. 12-ej w przepięknem przemówieniu, dziękując Bogu za błogosławieństwo w pracach, zamknął uroczystości książę-biskup lawantyński Dr Napotnik i zaintonował „Te Deum“, powtórzone przez tłumy tysiączne.

Po południu udali się goście do słynnych grot stalaktytowych w Postojnie, gdzie rzeczywiście bajka ma pod ziemią królestwo. Przywitani tu i podejmowani przez burmistrza miejscowego Dr Pilshofera, po koncercie i wieczorku, urządzonym na ich cześć, żegnani jeszcze raz przez przewodniczącego komitetu zjazdowego, redaktora *Slovenca* p. Štefègo, późnym wieczorem opuścili gościnną ziemię Krainy. *sk*

Wiadomo, że co urządzają „klerikalci“, z tem wojować muszą liberali (od tego są). Tym razem trudno było żądać od osób, pozostających wprawdzie (dla braku odwagi cywilnej) w formalnym związku z Kościołem, lecz nienawidzących Kościoła z całych sił, z czem się zresztą nie tają — żeby osoby takie brały udział w manifestacyi katolickiej. Uchwałę stronnictwa liberalnego, żeby ignorować zjazd, można zrozumieć. Ale wyłoniła się trudność: co począć z gośćmi słowiańskimi? Czy oni do „klerikalców“ przyjeżdżali w gości, czy do Słowieńców? Uchwalono wreszcie, że to goście samych tylko klerykałów, a więc należy ich również ignorować. Skoro tak uchwalono, należało się już tego trzymać — ale ani nawet organ liberałów, *Slovenski Narod*, do uchwały tej nie zastosował się i stąd posmak pewien wśród nich samych, z którym nie mogą sobie dać rady.

Czy do Słowieńców się jedzie, czy do katolickich ludowców słowieńskich — kwestya ta była przedmiotem narad zarządu Krakowskiego Towarzystwa Słowiańskiego. Nie jest ono stowarzyszeniem wyznaniowem; podwoje jego otwarte na oścież wszelkiego gatunku i stopnia „liberałom“, jako pożądanym na członkostwo na równi z najdystyngowańszymi „reakcyonaryuszami“. Ten podział ludzi, wymyślony w Wiedniu około roku 1848. i zmumifikowany przez prasę wiedeńską z *Neue Freie Presse* na czele, obowiązuje jeszcze politycznie w Lublanie, ale nam tu wywietrzał już dawno z głowy! Towarzystwo Słowiańskie pragnie przyjaznych, jak najprzyjaźniejszych stosunków z narodem słowieńskim. Do jakiego stronnictwa który Słowieniec należy, to już słowieńska sprawa wewnętrzna; wobec nas jest Słowieńcem. Li-

czyć się zaś musimy z faktem, że wśród Słowieńców niema zgoła żadnego gruntu neutralnego, ponad stronnictwa wzniesionego. Nigdy nie urządzają tam niczego obydwa główne stronnictwa wspólnie, a zatem nigdy niema sposobności mieć do czynienia ze Słowieńcami, jako takimi. Można się stykać tylko z tem lub z owem stronnictwem słowieńskiem. Innej rady niema. Gdybyśmy się nie zdecydowali przyjąć zaproszenia od danego stronnictwa, nie moglibyśmy być w Lublanie nigdy oficyalnie, a nawiązywanie stosunków polsko-słowieńskich stałoby się niemożliwością. Tymi kierując się motywami, uchwaliło Towarzystwo Słowiańskie zaproszenie przyjąć i rodaków do udziału w zjeździe nakłaniać. Jakoż były pomiędzy gośćmi polskimi i osoby, pragnące reprezentować w Lublanie wyłącznie tylko polskość.

Rzecz zrozumiała, że na zjazd, urządzany przez katolików, garnęli się szczególniej katolicy; gdyby go byli urządzali „liberalci", byliby jechali do Lublany przedewszystkiem „postępowcy" — to jasne. Dziwna rzecz, że lublańscy liberali tego zrozumieć nie mogli! Wolno im było gości ignorować, jako liberałom, skoro im się zdawało, że tak lepiej; czy wolno im było robić z gminy miasta Lublany partyjne podwórko i demonstrować z każdego budynku miejskiego, to już wątpliwe; niewątpliwie zaś niemądrze wyglądała jakaś demonstracyjka Sokołów przeciw zjazdowi, a więc i przeciw gościom zjazdu wymierzona. Zjazd udał się i tak wspaniale!

Ignorować uchwalono, a tymczasem demonstrowano. Podobnież *Slovenski Narod*. W każdym numerze pisał o zjeździe („ignorowanie"?), a że go obecność Polaków korciła, więc zabrał się osobno, specyalnie do nas, pragnąc wykazać, że ta „garstka 80 Polaków" nie reprezentowała wcale narodu polskiego i że zresztą nikogo tak dalece wybitnego z naszych tam nie było. Otóż co do tego, trzeba i na teraz i pro futuro powiedzieć, że bez względu na stronnictwa (co u nas jest jeszcze, dzięki Bogu, rzeczą drugorzędną) wszelkie poniżanie polskiej reprezentacyi uważa się u nas, jako zwrócone przeciw całości narodu polskiego. Czy to wybitne były osoby, czy nie, to nasza rzecz; rzeczą Słowieńców było przyjąć takich, jakich wysłaliśmy (a były osoby bardzo wybitne). *Slovenski Narod* myli się, przypuszczając, że nazewnątrz nie będziemy solidarni. Ktokolwiek był w Lublanie, był członkiem polskiej delegacyi (a były tam wszystkie stany i wszystkie zabory); zwracanie się przeciw osobom tych Polaków jest krokiem nierozsądnym aż do zdziecinnienia politycznego.

W szeregu artykułów opisano w *Slovencu* osobno każdy krok polskiej delegacyi na zjeździe, wszystkie wycieczki naszych, wszelkie najdrobniejsze nawet objawy wzajemnych sympatyj. Nasi nie wołali: „Niech żyje słowieńskie stronnictwo katolicko-ludowe", tylko po prostu: „Niech żyją Słowieńcy!" i wzajemnie wołano im „niech żyją Polacy!" Jeżeli okrzyki te sprzeciwiają się zasadom lublańskiego liberalizmu — nie pozostaje nam nic innego, jak... przyjąć to do wiadomości. Ależ w takim razie artykuły *Slovenskega Naroda*, poświęcone przyjazdowi Polaków, tem bardziej łączą nas z tymi, których zasadom nie sprzeciwia się okrzyk „Niech żyje Polska"!

Rekapitulując: skoro nigdy nie można w Lublanie być gościem obydwóch obozów, kiedyż wolno do niej przyjeżdżać, ażeby nie być narażonym na niegrzeczności ze strony jednego z nich? Skoro zaś wolno się tam trzymać tylko koniecznie stronnictwa, a nie narodu, polityczniej już trzymać się stronnictwa, mającego za sobą $^9/_{10}$ narodu i — jakaż inna rada?

O Serbów i Bułgarów.

(Dwie opinie).

Jakie są dwie opinie co do zachowania się i postępków Serbów a Bułgarów w ostatniej wojnie, opinie wzajemnie się wykluczające, powszechnie wiadomo; przytoczymy tylko dwa najbardziej typowe głosy, jakie w prasie słowiańskiej znaleźliśmy — a na końcu pozwolimy sobie na kilka słów od siebie.

Organ p. Milana Hodży celuje zawsze największem wyrobieniem politycznem wśród prasy słowackiej. Okazało się to i w ocenianiu sytuacyi bałkańskiej.

Już 18. lipca zwracał *Slovensky Tyždennik* uwagę na łączność polityczną Rumunii z Prusami, żeby nie dopuścić do wytworzenia się znaczniejszej słowiańskiej siły politycznej na Bałkanie. Zwrócono się przeciw Bułgaryi, bo Bułgarya była najbliższą takiej siły — i dlatego Berlin rozpoczął kampanię przeciw Berchtoldowi, ponieważ Berchtold układał się z Bułgaryą. Wolanoby w Berlinie, żeby austro-węgierskim ministrem spraw zewnętrznych był Stefan Tisza. Serbowie i Grecy dali się tu użyć za narzędzie koalicyi prusko-madiarsko-rumuńskiej. „W Berlinie działo się teraz to samo, co już raz przed 35 laty za Bismarka i Andrassego: wszystko przeciw powstaniu mocnego państwa słowiańskiego na Bałkanie“.

Dalej w Nrze 34. z dnia 22. sierpnia przypominał znowu *Slovensky Tyždennik*, że niemiecka polityka berlińska popiera już od r. 1848. na Węgrzech politykę szowinizmu madiarskiego. Polityka ta robi wszystko, ażeby Austrya była zdana tylko na niemiecko-madiarskie poparcie, żeby Austrya nie mogła mieć punktu oparcia w żadnem słowiańskiem państwie i w żadnym narodzie słowiańskim. Kiedy więc miała powstać wielka, potężna Bułgarya, zaraz spoiły się przeciw niej Rumunia, Grecya i Turcya — a w kuble tym znalazła się niestety i Serbia i to na pierwszem miejscu“.

* * *

Najwybitniejszy współczesny poeta chorwacki Trešić-Pavičić ogłosił w rjeckim *Novim Listu* zaciekły „list otwarty“ do ministra bułgarskiego Danewa. Poeta twierdzi, że Chorwaci „byli chorzy na bułgarofilstwo“. Wypomina, jak generał Iwanow twierdził, że Serbo-

wie byli pod Adryanopolem tylko statystami, „chociaż bez ich pomocy, zwłaszcza bez ich dział, nie bylibyście nigdy zdobyli Adryanopola, jak go też straciliście zaraz bez Serbów“... „Przerażenie moje rosło, gdy dzienniki niemieckie zasypywały was podziwem, a Serbów wyzwiskami“, a *Neue Freie Presse* „była wolną trybuną dla Wielkiej Bułgaryi od morza do morza“. Prasa chorwacka namawiała Serbię do ustępstw, byle nie dopuścić do wojny. Wtem — zarzuca Bułgarom Trešić — Naczewicz wyznał z całą otwartością, że Bułgarya w umowie przedwojennej przystała wprawdzie na warunek, że w razie najazdu austryackiego przyśle Serbii 200.000 wojska na pomoc — bo inaczej Serbia nie chciała się wdawać w wojnę turecką, — ale nie myślała dotrzymać tego zobowiązania. W kilka dni potem otrzymał Naczewicz stanowisko posła w Carogrodzie, a prasa bułgarska wielbiła go, że, podobnie jak Niemców, pozyska też Turków dla Bułgarów przeciwko Serbom. Trešić-Pavičić twierdzi, że w nocy z 30. czerwca Bułgarzy napadli podstępnie Serbów i Greków, zaprosiwszy przedtem Serbów na ucztę i zapewniając ich o usposobieniu pokojowem; Danew zaś wysłał już przedtem telegram do mocarstw z doniesieniem o podstępnym napadzie... Serbów i Greków na Bułgarów! Oryginał rozkazu dziennego do wojska, z poleceniem wykonania nocnych napadów 30. czerwca, dostał się następnie w ręce serbskie; pisma serbskie ogłosiły faximile.

„Wasz poseł w Wiedniu, Sałabaszew, zmyśliwszy kapitulacyę serbskiej dywizyi tymockiej pod Kriwolakiem, wołał na Serbów *w Neue Freie Presse*: Biada zwyciężonym! A w sam raz ta dywizya tymocka złamała armię bułgarską, ale nie wołała vae victis...“ „Wy głosiliście wobec całej Europy, że nie będzie pokoju, póki nie wygładzicie wszystkich Serbów“ i, zdaniem Trešića byliby dotrzymali groźby w razie zwycięstwa. Wyzyskawszy Serbów do pokonania Turcyi, chcieli Bułgarzy zapędzić Serbochorwatów w północno-zachodni kąt Bałkanu, gdzie dobiją ich Niemcy i Madiarzy. Wspomina dalej Trešić, że w ciągu pięciu wieków samoistności państwowej Chorwacyi i Serbii nie było nigdy wojny serbsko-chorwackiej, ale bywały najazdy bułgarskie na Chorwatów. Przechodząc do końca wojny, staje się Trešić coraz namiętniejszym. „Król wasz wciągnął Bułgaryę w krwawe błoto i sam tam wpadł, a teraz wzywa najgorszych wrogów Słowiańszczyzny, żeby go wyciągnęli z tego błota“... „Na Bałkanie starły się z sobą dwa prądy: jeden słowiański, który chciał pokoju, a drugi niemiecki, chcący wojny. Z winy Bułgarów zdawało się, że prąd niemiecki silniejszy — ale tylko do Bregalnicy. Bregalnica oznacza zwycięstwo prądu słowiańskiego; przepowiednia niejako na przyszłe wielkie starcie pomiędzy Germanią a Słowiańszczyzną“. Urąga dalej autor listu Bułgarom, że z własnej winy muszą ustąpić 7.500 klm² własnej ziemi Rumunii i to bez wystrzału. Za jaki rok Dobrudża będzie zrumuńszczona. To wszystko za to, że nie chcieli Serbii dopuścić do morza. W zgodzie z Serbią byłaby Bułgarya wzięła może i Soluń. Jeżeli Bułgarya się nie poprawi, przepowiada jej Trešić — czeka ją los Polski. Poprawa ma polegać na tem, żeby dać Serbii zadośćuczynienie i sprzymierzyć się z nią.

* *
*

Bulgarska *Weczerna Poszta* ogłosiła następujące pismo od młodzieży bułgarskiej, uczącej się w Pradze:

„Szanowny Panie Redaktorze! Czesi postępowali względem nas doprawdy zdradliwie podczas naszej wojny z Serbią. Podczas całego sporu i wojny pisma czeskie albo milczały o nas, albo podawały nas w ośmieszenie. My, bułgarscy studenci i studentki i wogóle w Pradze zamieszkali Bułgarzy, nabraliśmy skutkiem tego przekonania, że nie możemy mieć na przyszłość nic wspólnego z tym narodem. Występujemy tedy przed ogółem bułgarskim z tem wyjaśnieniem, ażeby naród nasz, który w ciężkich czasach miał sposobność poznać swych nieprzyjaciół, urządził też odpowiednio stosunki swoje wobec swych „braci". Mniemanie, jakoby nie należało odkrywać gorzkiej prawdy szerokim warstwom ogółu, nie wytrzymuje krytyki. Owszem, prawdę należy znać! I jeszcze coś: My wiemy, że Czesi, ci „słowiańscy żydzi", będą się starać usilnie, żeby znanymi środkami zakulisowymi rehabilitować się w naszych oczach, a więc baczność na nich!" Z oryginalnej tej odezwy znać, że fala nerwowego podniecenia — całkiem zresztą zrozumiałego — nietylko się nie ucisza, lecz wzbiera właśnie w Bułgaryi w najlepsze.

* * *

Żenują się trochę owej nocy z 30 czerwca, kiedy-to Bułgarzy niespodzianie napadli na pozycye serbskie. Mogą się jednak Bułgarzy pocieszyć tem, że... ktoś zacząć musiał, a dziś wiadomo już na pewno, że Serbowie mieli identyczne zupełnie zamiary. Niezgrabnie zabrali się Bułgarzy do sprawy „delikatnej" i dali się przyłapać na gorącym uczynku — ale zresztą ambo meliores! O tyle mają Bułgarzy słuszność, narzekając na niesprawiedliwe sądy Czechów, Chorwatów i Rosyan. Osądza się stosunki Słowian bałkańskich całkiem mechanicznie według tego, co się objawiło na zewnątrz, z gniewu za jawny skandal. Udało się po prostu Serbom; mieli szczęście, że ich antybułgarskie roboty, prowadzone od pięciu miesięcy — jak to Bułgarzy już udowodnili — nietylko nie wywołały publicznego zgorszenia, lecz sprowokowały tamtych do zrobienia skandalu i stąd całe odium na Bułgarów.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Chcąc w krótkości scharakteryzować usposobienie i metodę prasy **ruskiej** latem 1913 r., przypomnijmy sobie, że reforma wyborcza nie doszła do skutku tym kształtem, jak jej pragnęli Rusini galicyjscy i jak się o to ugodzili z poprzednim namiestnikiem. Trzeba tedy nowego projektu reformy. Tymczasem rozwiązano sejm, a przy nowych wyborach weszli Rusini do Izby w nadzwyczajnym, nad wszelkie spodziewanie zwiększonym komplecie. Łatwo więc zrozumieć, że przemawiają jeszcze mniej łagodnie, niż przedtem.

»Sprawę polsko-ukraińskiego porozumienia co do reformy wyborczej — pisało *Diło* — rozdymały polskie polityczne koła do znaczenia ogólno-narodowej zgody w kraju, czegoś w rodzaju ugody czesko-niemieckiej. Tymczasem galicyjska »ugoda« ma objąć tylko reformę wyborczą i nic więcej; niema więc żadnego porównania między nią a ugodą w Czechach, mającą objąć cały kompleks spraw spornych. Rozdymając galicyjską »ugodę« do takiego znaczenia, polska strona kuła dla siebie polityczny kapitał, bo po dokonaniu reformy wyborczej miarodajne koła państwowe oraz polityczne koła poza granicami państwa mogłyby zostawać pod wrażeniem, że w Galicyi wyrównane zostały wszystkie sporne punkty między oboma narodami, a to utrudniłoby nam znacznie dalszą naszą walkę o narodowościowe prawa w państwie. Kompensatę za ten polski plus a nasz minus musimy dostać w tej formie, aby sejmowa reforma wyborcza odpowiadała istotnie naszym narodowościowym potrzebom. Dotychczas kuryalny system przyznawał nam ponad 30 proc. mandatów. Jeżeli nowa ordynacya wyborcza ma być reformą demokratyczną, to musi iść w kierunku demokratyzacyi kuryalnego systemu w kierunku rozszerzenia praw naszego narodu«.

Nikt się nie dziwił, gdy po walnem zwycięstwie przy wyborach cała prasa ruska jednomyślnie zapowiedziała, że teraz wystąpi się z żądaniami większemi, niż w kompromisie omówionym z Drem Bobrzyńskim — ale czyż mogło komu przejść przez głowę, że Rusinom przyśni się opozycya przeciw założeniu Akademii górniczej w Krakowie?! Oto argumentacya, zaczerpnięta dla przykładu z *Diła:*

»Jeżeli założenie Akademii górniczej leży w interesie kraju, dlaczego ma to być szkoła czysto polska, położona w polskiej części kraju?! Ludność kraju składa się z dwóch narodowości i nowa szkoła wyższa powinna liczyć się z potrzebami obu narodów. Powstaje więc kwestya języka wykładowego; dlaczegą w szkole, która ma służyć obu narodowościom, językiem wykładowym ma być tylko polski? Powstaje też druga kwestya, mianowicie siedziby tej szkoły: dlaczego szkoła, która ma służyć obu narodowościom, znajdować się ma nie w centrum, nie w stolicy kraju, ale na najdalszym jego krańcu? Kwestye te mogą być rozstrzygnięte tylko za obopólnem porozumieniem obu narodowości, a nie mogą być załatwione jednostronnie, na korzyść tylko jednego narodu«. *Diło* przypomina, że przeciw założeniu Akademii górniczej w Krakowie założył Klub protest jeszcze w lipcu 1912., a skoro rząd protestu tego nie uwzględnił i obecnie rozpisał konkurs na budowę gmachu dla tej Akademii, zapytuje *Diło* »jak rząd śmiał zlekceważyć zasadę narodowej równowagi?«. »I jeżeli rząd nie zawróci z tej drogi, niechaj przyjmie do wiadomości, że sprawą założenia polskiej Akademii górniczej w Krakowie gotuje sobie »casus belli«, który może mieć poważne następstwa, bo nasza parlamentarna reprezentacya nie ścierpi, aby w czasie, gdy skutkiem nieuprawnionego i nieusprawiedliwionego veta Koła polskiego (?!) ugrzęzła sprawa założenia uniwersytetu ukraińskiego, rząd kierując się systemem jednostronnych koncesyj, dawał polskim władcom kraju nową polską wyższą szkołę i w ten sposób kosztem także ukra-

ińskich podatników wzmacniał polskie stanowisko w kraju po to, aby Polacy mieli jeszcze więcej sił do przeszkodzenia zaspokojeniu potrzeb rozwoju naszego narodu. Nasze »caeterum censeo«: polska Akademia górnicza nie może i nie śmie być założona bez poprzedniego porozumienia między parlamentarnymi reprezentantami obu narodów kraju, inaczej nasza reprezentacya parlamentarna uważać będzie tę sprawę za »casus belli« i wyciągnie z niej na arenie parlamentarnej najdalej idące konsekwencye«.

Ciekawe, czy nie doczekamy się wniosku, że Akademia Sztuk pięknych ma być przeniesiona z Krakowa do Lwowa i zamieniona na utrakwistyczną? Podobnież krakowskie Studyum rolnicze, Konserwatoryum muzyczne, i wszelkie wogóle instytucye, których Lwowu brak, które tedy znajdują się »nie w centrum kraju, ale na najdalszym jego krańcu« i w których wykładowym językiem jest tylko polski?

Niewiadomo, czy wolno z polskiej strony argumentować, że Akademia górnicza powinna być w pobliżu kopalń, bo to byłby argument rzeczowy, a te w polemice z Rusinami podobno nie uchodzą?

Z okazyi jubileuszu cesarza Wilhelma, wysłało ruskie towarzystwo w Wiedniu »Rodyna« telegram hołdowniczy do Berlina, w którym w najpoddańszych wyrazach zapewnia go o swem uwielbieniu, podziwie, czci, etc. W odpowiedzi na tę depeszę, niemiecki ambasador w Wiedniu, hr. Tschirschky, nadesłał na ręce prezesa »Rodyny«, p. Mikołaja Kozłowskiego pismo z podziękowaniem i zapewnieniem, że przesłane życzenia zostały cesarzowi niemieckiemu przedstawione.

Klub posłów ruskich w Wiedniu przesłał również telegram Wilhelmowi, w tymże samym duchu zredagowany.

Pisma, specyalnie kwestyi słowiańskiej poświęcone, redagowane bywają w **Rosyi** dziwnie słabo, więc też upadają pomimo korzystnych danych w samej olbrzymiej poczytności języka rosyjskiego. *Sławianin*, wychodzący co drugi dzień, krótki miał żywot. Redaktor jego P. W. Wasiljew upiększył ten fakt twierdzeniem, że pismo przestało wychodzić »na znak protestu przeciw bratobójczej walce na Bałkanie« i z takim wymysłem zabrał się do napisania artykułu programowego do *Słowianskiego Dieła*, pisemka dla najszerszych warstw przeznaczonego, a mającego wychodzić dwa razy na tydzień.

Profesor A. Pogodin z powodu ukazania się książki Piercowa p. t.: »Uwagi o słowianofilstwie«, zamieszcza w *Birżewych Wiedomostiech* artykuł polemiczny, w którym wypowiada kilka bardzo charakterystycznych zapatrywań na kwestyę słowiańską w dobie obecnej:

Mądre życie przeszło już obok tego zagadnienia zupełnie, usunęło »kwestyę słowiańską«, jako taką. Życie to powiedziało nam, że są sprawy i bóle polskie, czeskie, serbskie i inne, podobnie, jak są rosyjskie, lecz ani panrusycyzm, ani panslawizm nie mają żadnej przyszłości, gdyż istnieje więcej czynników rozdzielających je, niż jednoczących.

Prof. Pogodin zwraca, niejednokrotnie zresztą wypowiadaną przez Rosyan, uwagę, że Rosya dobrowolnie wyrzekła się roli kiero-

wniczej w Słowiańszczyźnie, nietylko nie rozstrzygnąwszy sprawy polskiej, ale nawet obrażając uczucia narodowe Polaków.

Był czas i to nie bardzo daleki, a mianowicie na wiosnę 1908 r., następnie w czasie zjazdu praskiego, gdy Rosya mogła dokonać wielkiego dzieła narodowego. Zamiast tego, aby wymyślać niekorzystną dla Rosyi nową krzywdę Polaków w postaci oderwania Chełmszczyzny — należało rozstrzygnąć jednym wielkodusznym i mądrym porywem kwestyę polską. I pogodzony i »zespolony« z nami naród polski byłby tym mostem, po którym doszlibyśmy do »panslawizmu« pod hegemonią Rosyi. Jednakże tak się nie stało. Dlaczego?

I prof. Pogodin godzi się w tym wypadku z wnioskiem autora broszury o Słowiańszczyźnie, Piercowa, który pisze, że »zbyt wiele fatalnego podobieństwa jest w Rosyi obecnej do Chin«, a dalej oświadcza, że »nie będzie nic dziwnego, jeżeli za jakie 50 lat Rosya będzie obanderolowana na rękach i nogach wstęgami takich handlowych traktatów, które uczynią ją de facto wasalem mocarstw zagranicznych«.

Lecz czyż takie »żaglowe mocarstwo« może prowadzić jakąkolwiek określoną politykę, nie mówiąc już o zjednoczeniu narodów pokrewnych? »Żaglowe mocarstwo« pełza po falach, dokąd dmie pomyślny wiatr. A cóż powiedzieć, jeżeli marynarze statku nie znają ani mapy, ani celu! I prof. Pogodin dziwi się autorowi broszury, Piercowowi, że nie czyni ze słów swych wniosków, które same narzucają się jego charakterystyce »żaglowego« mocarstwa. Mocarstwo to nie zdolne jest ani do bohaterstwa, ani zrozumienia i wyzyskania swych lepszych sił, ale daje szerokie pole do popisu najgorszym elementom. I wywody te z nieubłaganą konsekwencyą mówią o tem, że panrusycyzm dawno został pogrzebany, a panslawizm, nie do pomyślenia bez Rosyi, przekształcił się ze zdrowej idei politycznej w piękne marzenie poetyczne. A przecież »szczęście było tak bliskie!«

Riecz poświęciła szereg artykułów sprawie wymierania ludów syberyjskich, czemu nietylko nie zapobiega rząd, ale pośrednio pomaga.

Ludy obcoplemienne skazane są na wymarcie i istotnie zubożenie i wymieranie postępuje crescendo. Czas położyć kres temu niszczeniu, czas dać obcoplemieńcom to, co niezbędne jest dla egzystencyi człowieka i ochronić ich przed »dobroczyńcami«, grabiącymi obcoplemieńca.

Obecnie, gdy wśród Jakutów, Buriatów i Kirgizów jest niemało osób ze średniem i wyższem wykształceniem, powstaje projekt metysyacyi plemienia słowiańskiego. W charbińskiem Towarzystwie oryentalistów niejaki M., według *Sib. Wiestnika*, proponuje »naturalno-prawne« normy przeciwko krzyżowaniu się Słowian z ludami syberyjskimi. Nie jest to oznaką czasu i gorszem złem, niż nazwa »stworzenie« (»twar«), dawane pogardliwie przez Rosyan ludności tubylczej.

Pod koniec istnienia *Russkiej Mołwy* znalazł się w niej wielce znamienny głos Rosyanina, który stara się ująć i poddać krytyce ocenę współczesnej duszy rosyjskiej tak, jak ją widzą: prof. Maryan Zdziechowski w studyum swem o wpływach literatury rosyjskiej na duszę polską, a zwłaszcza Władysław Jabłonowski w pracach »Dookoła Sfinksa« (1910 r.) i »Dwie kultury«. Właściwie

cały artykuł A. Salazkina jest polemiką z wspomnianymi artykułami polskimi, ale daje autorowi tło do rzucenia myśli i zapatrywań, obejmujących szeroką dziedzinę wzajemnych stosunków polsko-rosyjskich. Autor wychodzi z założenia, że położenie Polaków z pośród trzech zaborów w państwie rosyjskiem jest »najbardziej skomplikowane i trudne«, gdyż »samodzielność społeczna skrępowana jest do ostateczności, przytem nie tyle przez prawo, które pomimo całej surowości określałoby możliwe do przewidzenia ramki bytu obywatelskiego, ile przez niestałe, demoralizujące obydwie strony panowanie administracyjnego widzimisię i przypadkowe zarządzenia wprowadzane bez żadnego systemu.

Rosyjski ruch wolnościowy obudził w społeczeństwie polskiem nadzieje nieziszczone następnie. Główny czynnik współczesnych nastrojów polskich autor widzi w rozczarowaniu, które zapanowało po dniach nadziei. I przypomina, że w 1906 r. Aleksander Brückner w broszurze »O literaturze rosyjskiej i naszem do niej stanowisku« nawoływał społeczeństwo polskie do zaznajomienia się bliższego z twórczością rosyjską, uważając nieznajomość za pewien niedostatek w kulturze polskiej. Ostatnie lata wydają jednakże w Polsce prace skierowane przeciwko tym wpływom, jako działającym rozkładowo na psychikę polską. Z powodu pracy prof. Zdziechowskiego Sałazkin zwraca uwagę, że przewartościowanie »rosyjskich tradycyj inteligenckich silnie zajmuje współczesną publicystykę polską«. Cały nasz ruch wolnościowy uważany jest jako przejaw sił wyłącznie ujemnych, dezorganizacyjnych, nie zdolnych do twórczości. Ze stanowiskiem takiem autora polskiego stara się Sałazkin walczyć. Boli go szczególniej zlekceważenie »narodniczestwa« przez Wł. Jabłonowskiego. Krytyk polski nawet »narodniczestwo« rosyjskie uważa za bezpłodny kierunek, który nie przyniósł masie ludowej żadnej korzyści. I dla obalenia tej opinii przytacza autor pracę ziemstw. Jako literat widocznie nie ma pojęcia o ogromnej, choć odbywającej się w bardzo ograniczonych warunkach pracy »trzeciego elementu«, ziemstw, które stworzyły i stwarzają oświatę i życie społeczne we wsi rosyjskiej.

I tu następuje najznamienniejsza część wywodów autora rosyjskiego:

Wreszcie tu nie chodzi, czy ocena Rosyi jest właściwa. Mamy przed sobą raczej przykład pedagogiczny na wzór tego, jak w starożytności młodym Spartanom pokazywano pijanych dla wykształcenia w nich ducha trzeźwości. Zadaniem autora polskiego jest przeciwstawić ciemnemu Wschodowi jasny i czarujący Zachód dla zażegnania wpływów ryzykownie kształtujących psychikę polską. Organicznie wiąże się ono z wzmocnieniem tendencyi antyrosyjskich publicystyki polskiej, z próbami znowu żeby zatrzeć niedawne odróżnienie postępowego społeczeństwa rosyjskiego od stojącego nad niem reakcyjnego rządu, wreszcie z upadkiem chwilowego przymierza polskiego z opozycyą rosyjską. Dla niektórych polskich grup społecznych związek ten miał zawsze warunkowe i obosieczne znaczenie. Nastrój taki mógł tylko wzmocnić się w godzinę rządowej i społecznej reakcyi. Wówczas i w Królestwie Polskiem ruch wolnościowy w kołach tych poczęto na-

zywać rewolucyą »rosyjską«, podobnie jak wpływami rosyjskimi zaczęto tłómaczyć wszystkie skrajne kierunki społeczeństwa polskiego.

Maryan Zdziechowski nawet skrajną prostolinijność i nietolerancyę dogmatyczną współczesnej publicystyki antyrosyjskiej stara się wyjaśnić przyjęciem na gruncie polskim »rosyjskiej metody zapatrywań«.

Polska niewątpliwie przeżywa głębokie przesilenie swych społecznych nastrojów i stosunków. Upada przestarzałe pojęcie o narodzie, jako składającym się tylko z warstw rolniczych i dostatnich miejskich jako przeciwstawienie ludowi i warstwom robotniczym. Pada podstawa dawniejszego polskiego życia narodowego. Coraz bardziej skomplikowane stają się zadania ekonomiczne i kulturalne. Skomplikowanie życia prowadzi konsekwentnie do skomplikowania kultury i rozszerzenia horyzontu duchowego. Powitanie nowych zapatrywań, rewizya krytyczna tradycyjnych pojęć, pojawienie się nowych zagadnień i nowych kryteryów w oceanie życia bieżącego, jest nieuniknionem następstwem takiego momentu historycznego.

Zdaniem autora nowe, świeże siły społeczeństwa rosyjskiego zarówno nie mogą fundować swego światopoglądu na szlacheckiej idylli Sienkiewicza, lub »Historyi literatury polskiej« St. Tarnowskiego, jak i ulegać »wschodnim« wpływom. Antyteza Wschodu i Zachodu nie pociągnie nowych, żywych sił polskich. Zbyt jest warunkowa, jak i warunkowe zaliczenie »czysto polskiej« kultury do typu »zachodniego«. Wpływy »rosyjskie« zbyt są głęboko zespolone z twórczością szeregu pierwszorzędnych pisarzy polskich i nie ustrzeże od nich pokłon Zachodowi, gdzie tak głęboki jest wpływ Dostojewskiego, gdzie Tołstoj myśliciel jest popularniejszy niż w Rosyi, gdzie wogóle tak znaczne są zdobycze sztuki rosyjskiej.

Tak optymistyczne wywody kończą interesujący artykuł A. Sałazkina.

O sytuacyi politycznej w **Czechach** informują starannie pisma codzienne. Możemy przeto poprzestać tu — dla zachowania ciągu — na powtórzeniu i zanotowaniu tego wydarzenia, które było zasadniczem, nadając ton i kierunek obecnemu położeniu:

Dnia 12. sierpnia odbyło się w Pradze posiedzenie czeskich posłów do Rady Państwa. Po naradach poszczególnych klubów czeskich, mianowicie młodoczechów, agraryuszy i czeskich narodowych socyalistów, w których wzięło udział 70 posłów do parlamentu i szereg byłych posłów do sejmu, otworzył posiedzenie poseł Staněk, mając u boku posłów Fiedlera i Klofača. Po dłuższej dyskusyi zaproponowano ze strony radykalnej rezolucyę ostrą, na którą młodoczesi nie chcieli się zgodzić, proponując poprawki w duchu przychylnym dla dalszych rokowań ugodowych. Ponieważ młodoczesi pozostali w mniejszości, a pewnem było przyjęcie rezolucyi im nie odpowiadającej, przyszło do burzliwych scen między młodoczechami a członkami innych stronnictw. W końcu młodoczesi opuścili salę obrad, a pozostali posłowie przyjęli pierwotną rezolucyę. Wynik głosowania oznacza zupełne

zwycięstwo radykałów, a klęskę żywiołów dotychczas skłonnych do ugody. W obradach nie wzięli udziału: Klub katolickich czeskich posłów, oraz socyaliści międzynarodowi.

W Nrze 49. praskiego *Přehledu* z dnia 29. sierpnia znajduje się następujący artykuł, podpisany przez redaktora Jana Gallasa:

„Redaktor *Świata Słowiańskiego*, dr F. Koneczny reaguje w ostatnim zeszycie swego przeglądu na moje wywody o polityce polskiej z Nru 39. *Přehledu.* Uznaje, że Polacy troszczyli się o wiele mniej od nas, Czechów, o stosunki w Austryi (z wyjątkiem Galicyi) i o austryacki problem narodowościowy. Sądzi atoli, że jest to „frazesem polityków kawiarnianych“, jeżeli dotychczasową politykę Koła polskiego nazywam polityką ciasnego egoizmu. Dr Koneczny — niestety — myli się. Teza o ciasnym egoizmie polskiej polityki nie jest u nas właściwą politykom kawiarnianym, lecz powszechnem, silnem, a opartem aż nazbyt na rzeczywistości przekonaniem całego czeskiego ogółu, a zwłaszcza całej czeskiej polityki. Kładę tu nacisk na wyraz „ciasny“; egoistyczną bowiem jest i być musi polityka każdego narodu. Ale my Czesi, a zwłaszcza my szczerzy przyjaciele porozumienia czesko-polskiego widzimy z przykrością, że egoizm polityki polskiej dbał zawsze tylko o Galicyę; nie miał programu dla reszty Austryi i skutkiem tego, jakoteż zwłaszcza tą okolicznością, że za cenę rozmaitych okruszyn ekonomicznych służył bezwzględnie lichej dotychczasowej polityce wewnętrznej i zewnętrznej, stracił już (t. j. egoizm polski) niemal całkowicie wpływ twórczy na politykę austryacką, na dążenia do przemiany tej polityki i całego ustroju monarchii, o co naprzykład staramy się my Czesi i Słowianie południowi; za niebardzo świetną teraźniejszość sprzedaje (ten ciasny egoizm polski) całą przyszłość polskiej polityki. Na tem właśnie polega ta ciasnota jego widnokręgów, szkodliwość jego i niebezpieczeństwo. I dlatego życzymy sobie w interesie właśnie tej polityki, żeby odstąpiła od swego dzisiejszego partykularyzmu, żeby wzrok swój zwróciła na całą monarchię i pracowała nad poprawą stosunków w całem państwie. Tylko taki zwrot zapewni polityce polskiej powrót do tego stanowiska przewodniego, które straciła już dawno przez swą obecną taktykę. Dlatego witam to z największą radością, gdy Dr Koneczny powiada dalej, że *Świat Słowiański* kładł zawsze nacisk na potrzebę nowego programu polskiego wobec Austryi i że zdaje sobie stale sprawę ze swego obowiązku, żeby wywołać zasadniczą dyskusyę o wzajemności Czechów i Polaków, jako współobywateli Austryi, innemi słowy o programie polsko-czeskim wobec Wiednia i skoro przyrzeka, że do tych spraw powróci w najbliższej przyszłości. Jeżeli nie nastąpiło to dotychczas, należy to podobno przypisać tej jedynie okoliczności, że niemiał dotychczas rękojmi, iż dyskusya przeprowadzoną będzie ze stron obydwóch wszechstronnie usque ad finem i nie zejdzie z porządku dziennego, dopóki nie wywoła zarazem następstw praktycznych. Sądzę, że dziś nie trzeba żywić podobnych obaw, przynajmniej o ile chodzi o nas, Czechów. Polityka czeska poszukuje w ostatnich czasach już dość usilnie nowej oryentacyi, a stara się zwłaszcza wyjaśnić sobie stosunek swój do Austryi. Następstwa wojny bałkańskiej i wpływy na politykę monarchii, jakoteż

i przesilenie w Czechach, choćby nawet skończyło się ugodą czesko-niemiecką, mogą służyć tylko za podporę usiłowaniom i dążności do porozumienia z Polakami co do polityki wewnętrznej i zewnętrznej. Zresztą, choćby nawet nie było tego wszystkiego, prasa i polityka czeska rozważy zawsze jak najstaranniej i z radością polskie wnioski programu czesko-polskiego wobec Wiednia, zwłaszcza gdy wyjdą z pod pióra tak wypróbowanego przyjaciela Czech i od głowy tak politycznej, jak dr Feliks Koneczny. Już choćby dlatego, że będzie to novum, na które czekamy napróżno już tak długo, przywykli do faktu, że wnioski o wspólne postępowanie polskiej i czeskiej polityki wychodziły w ostatnich dziesięcioleciach wyłącznie ze strony czeskiej. Dr Koneczny może być pewny zainteresowania, i to wielkiego zainteresowania ze strony czeskiej swymi programowymi artykułami. I miejmy otuchę, że uda mu się doprowadzić prasę i politykę polską także do dyskusyi o nich, ewentualnie i via Praga, t. j. z pomocą czeskiej prasy".

Więc — jeżeli nie zajdą jakie nieprzewidziane przeszkody — zrobimy następny rocznik *Świata Słowiańskiego* par excellence czesko-polskim.

Z „kulturkampfu" **słowackiego** mamy do zapisania odezwę na zjazd postępowców (odbywał się w dniach od 15—17 sierpnia na terytoryum morawskiem), w której wyrażono ubolewanie, że na wsi słowackiej „panem został żyd i ksiądz". Zjazd zastanawiał się zaś oczywiście nad tem, jak ją wyrwać z pod wpływów nie żyda, lecz księdza.

Dnia 29 lipca odbył się w Żylinie poufny zjazd duchowieństwa katolickiego, żeby się naradzić nad kilku kwestyami, wśród których była i następująca: „W razie, gdyby katolicy madiarscy nie uszanowali naszych słusznych żądań w dziedzinie Kościoła, szkolnictwa i polityki, czy nie byłoby wskazanem nawiązać stosunki z katolikami czeskimi i polskimi? Egzemplarz poufnego cyrkularza dostał się przypadkiem do redakcyi „młodo-luterańskiego" *Slov. Dennika*, ostoi „kulturkampfu". Dziennik ten narobił takiej wrzawy, że poruszył węgierskie urzędy i sekundował mu aż *Krajan*, wydawany przez rząd z funduszów skonfiskowanych niegdyś Macierzy słowackiej. Pomimo przeszkód i awantur, zjazd „klerykalny" odbył się i wybrano komitet, mający się zająć dokładniejszem zorganizowaniem wszelkiej działalności katolicko-narodowej na Słowaczyźnie. Do komitetu wchodzą: prezes ks. Andrzej Hlinka, wiceprezes Ferko Skyčak, sekretarz ks. Ferdiš Juriga, podskarbi ks. Floryan Tomanek.

Skutki „kulturkampfu" już widać. Wybitniejsi katolicy nie brali udziału w tegorocznych uroczystościach „martinskich". Świecił nieobecnością nawet sam prezes Musealnoj Společnosti, ks. Stefan Mišik, a *Slovenske Ludove Noviny* w Nrze 33. stwierdziły, że to było skutkiem rzuconego już hasła: „Katolicy, odsuńcie się od masarykowców!"

Slovenski Tyždennik Nr 33. ostrzega, że Słowacy mogą się znaleść odosobnionymi na wypadek jakich zmian na Węgrzech, bo w ostatnich czasach nie było żadnego związku pomiędzy nimi a Rumunami; Serbowie zaś węgierscy zerwali stosunki ze słowacką organizacyą polityczną

jeszcze przed czteroma laty. Jestto ciężkim błędem, że do tego dopuszczono, bo Czesi mogą wystarczać Słowakom tylko w sprawach ekonomicznych i szkolnych, lecz nie w polityce właściwej.

Prasa **słowieńska** zajęta była oczywiście przedewszystkiem olbrzymim, jak na tamtejsze stosunki, zjazdem katolickim słowieńsko-chorwackim w Lublanie — ale najbardziej udziałem Polaków w tym zjeździe. O tem piszemy na innem miejscu.

Wybory do sejmu goryckiego zmieniły znacznie skład tego miniaturowego austryackiego ciała prawodawczego. W kuryi powszechnej słowieńskiej dwa tylko mandaty pozostały przy katolikach, trzeci zdobyli liberałowie. W kuryi wiejskiej pozostało katolikom słowieńskim z siedmiu krzeseł zaledwie jedno. Nadto posiedli liberali słowieńscy jeden mandat w kuryi miejskiej, a trzy z większej posiadłości ziemskiej. Będą więc rozporządzać 11 głosami przeciw 3 katolickim słowieńskim. Lepiej powiodło się katolikom włoskim, którzy zdobyli 6 mandatów na 15.

Z prasy **chorwackiej** mamy do zapisania kilka bardzo znamiennych enuncyacyj:

Hrvatski Dnevnik podał clara pacta: napisał, że Chorwaci woleliby stopić się w jednę całość z serbszczyzną (byle w Serbii okazano tolerancyę dla katolicyzmu), niż być pożartymi przez madiarski imperyalizm lub przez ekspanzyę wszechniemiecką. Cóż się więc dziwić, że takie *Riječke Novine* propagują coraz energiczniej serbofilstwo? W sferach biurokratycznych zaczęto znowu coś przebąkiwać o zdradzie stanu... Natenczas zabrał głos w tychże *Riječkich Novinach* sam znakomity biskup Krku ks. Mahnić i wziął je w obronę. Przypomniał wręcz, jak to urzędnicy rządowi w Bośni nie taili się wcale z tem, że życzą Turcyi zwycięstwa nad Serbią i zwraca uwagę na to, że abyssus abyssum invocat. Ostateczne zaś wnioski znakomitego księcia Kościoła brzmią jak następuje: „Znaną jest całemu światu bezgłowa polityka dyplomacyi austryackiej, która najadła się tylko wstydu wśród wydarzeń bałkańskich. W państwie konstytucyjnem nie wolno mieć za złe dziennikowi, że piętnuje tę politykę, jak na to zasługuje; wolno mu to bez najmniejszego przewinienia wobec obowiązków patryotycznych. Nikt nie może nam — pisze ks. biskup — zakazać, żebyśmy nie reagowali środkami prawnymi przeciw politycznym postępkom systemu rządowego, który i państwo i naród wiedzie do przepaści. To wcale nie zdrada główna!"

Muzułmański *Novi Vakat* wezwał do uznania koalicyi serbo-chorwackiej, ażeby zapobiedz rozłamowi wśród wyznawców Proroka na Chorwatów i Serbów; poczucie jedności narodowej może doprowadzić do tem ściślejszego zjednoczenia się celem obrony religijnych interesów islamu. W ten sposób zginąłby w Bośni ostatni punkt oparcia dla austryackiej metody rządzenia: divide et impera.

Prawasze bywają wystawiani przez przeciwników za „służalców Austryi", a tymczasem rząd zakazał założyć klub prawaszki w Sara-

jewie, ponieważ miałby działać „przeciw podstawom monarchii, a mianowicie za połączeniem Bośny i Hercegowiny z Chorwacyą, Istryą i Dalmacyą". Przyjęto więc odmowę za rodzaj świadectwa moralności ze strony rządu, a mianowicie uderzyła w ten ton *Hrvatska Misao*. Ale liberalne pisma zwróciły uwagę, że *Hrvatski Dnevnik* (organ arcybiskupa ks. Stadlera) nie bardzo się zasmucił zakazem władzy i że założycielem klubu był w tym wypadku wcale nie zwolennik „Šušteršića—Stadlera—Dulibića", lecz opozycyonista dr Sunarić, członek secesyi. *Sloboda* stwierdza, że prawdziwe powody zakazu tkwiły w osobie niemiłego władzy petenta, a nie w programie, który już przed dwoma laty okazał się zupełnie legalnym w oczach rządu. Przypomina fakt, że w roku 1911. Hrvatska Katolička Zadruga otrzymała zatwierdzenie statutu, którego § 2. brzmiał, jak następuje:

„Hrvatska Katolička Zadruga będzie pracować nad spełnieniem programu z 26. czerwca 1904., t. j. stojąc na stanowisku prawa państwowego i zasady narodowościowej, działać będzie wszelkimi środkami prawnymi, żeby zjednoczyć w jeden samoistny utwór państwowy w obrębie monarchii habsburskiej naród chorwacki, który zamieszkuje Chorwacyę, Slawonię i Dalmacyę, Rjekę z okręgiem i Medjumurje, Bośnę i Hercegowinę, tudzież Istryę; nadto będzie popierać z całych sił dążenia braci Słowieńców, żeby ziemie słowieńskie przyłączone zostały do tego utworu państwowego".

Jako przykład zajmujący doktrynerstwa, przytoczymy następujący artykulik ze splickiej *Slobody* Nr 213:

„Przygotujmy się do obchodu tysiąclecia! Na przyszły rok będzie lat tysiąc, odkąd papież Jan X. zasiał między południowymi Słowianami owo zgubne nasienie, z którego owoce, po latach tysiącu, my dzisiaj spożywamy. Dopełnia się w sam raz tysiąc lat, odkąd papież Jan X. w roku 914. po raz pierwszy w piśmie wystosowanem do księcia chorwackiego Tomisława nazwał go i zrobił królem, a potem obdarzył go też i królewską koroną, jako nagrodą za to, że w myśl gorących pragnień papieża usunął słowiańską liturgię, a na jej miejsce zaprowadził łacińską. Nasienie to było początkiem i pierwszem źródłem wszelakich późniejszych naszych nieszczęść, jakich doczekaliśmy się i jako naród i jako państwo, z czego wynika, żeby się naród chorwacki przygotował za wczasu, żeby to tysiąclecie „uroczyście" obchodzić. Oto pole dane naszym klerykałom do nowych uroczystości!"

Wychodzący w Nowym Sadzie *Branik* donosi, że wśród **Serbów** w Banacie wzmaga się coraz bardziej tendencya, żeby emigrować do krain świeżo zdobytych przez królestwo serbskie, gdzie łatwo można kupić większe i dogodne gospodarstwo, bo ziemia tam dobra a tania. W niektórych wsiach ma być większość ludności przygotowaną już ze wszystkiem do tej emigracyi. Królestwo serbskie zrobiłoby na tem zapewne doskonały interes, bo do rzadkiego zaludnienia Starej Serbii przybyłaby ludność serbska, a urodzajna, lecz niesłychanie prymitywna gleba tych krain otrzymałaby rolników obeznanych ze swym zawodem i stosunkowo postępowych. Ale kto zastąpi emigrantów

w Banacie? Koloniści niemieccy i madiarscy — a Banat po pewnym czasie straciłby cechę serbską. Toteż z ogólnego narodowego stanowiska serbskiego, powrotna ta fala wcale nie jest pożądaną.

Wychodząca w Nowym Sadzie serbska *Zastava* pisała o zaginionym bez wieści metropolicie Bogdanoviću: „Przy instalacyi przyrzekał, że będzie się we wszystkiem kierował przepisami autonomii cerkiewnej i że będzie pracować w porozumieniu z narodem. Ale przyrzeczeń nie dotrzymał. Wobec rządu był posłusznym do ostateczności i spełniał wszelki rozkaz bez namysłu. Zaprowadził statut synodalny bez udziału synodu i przez to samo dopuścił się naruszenia serbskiej autonomii cerkiewnej. W tej autonomicznej cerkwi on sam przyjął następnie urząd komisarza królewskiego! Obiecał pracować nad oświatą w kierunku narodowym, ale namawiał gminy serbskie, żeby się starały o państwową subwencyę na szkołę i przez to samo madiaryzował takie szkoły (szkoły subwencyonowane przez rząd podlegają specyalnym przepisom, zniewolone służyć madiaryzacyi; na subwencye te łapie się nieuświadomione dostatecznie narodowo gminy). On udzielił wreszcie swego błogosławieństwa na założenie prawosławnej madiarskiej eparchii na Węgrzech. Z funduszu narodowego, do którego miał wpłacać 20 proc. swych dochodów, pożyczał sobie znaczne kwoty; wypożyczył sobie znowu 120.000 K, które będzie musiał zapłacić jego następca. Wielkie były jego grzechy i nie można się dziwić, że przyszły wyrzuty sumienia“...

Srpska Riječ dała hasło do wielkiej nagonki na ks. arcybiskupa Stadlera, któremu udało się — po kilku znowu latach! — nawrócić jednę duszę prawosławną (seminarzystkę 22-letnią Djurdjenę Pavlovićewę); a więc artykuły, odezwy, wiece po całym kraju, tudzież energiczne dowoływanie się ingerencyi władz świeckich. Istnieje bowiem rozporządzenie z roku 1891., nakazujące, ażeby pragnący zmienić wyznanie oznajmił to wpierw wobec dwóch świadków dotychczasowej swej bezpośredniej zwierzchności duchownej, a następnie doniósł o tem władzy „politycznej“, t. j. urzędowi administracyjnemu — poczem dopiero władza duchowna nowo wybranego wyznania może przyjąć nowego wyznawcę na łono swego Kościoła. Formalności owych nie wypełniono i nawrócenie jest „nielegalne“. Arcybiskup zaś wyjaśnia swoje stanowisko w sposób nader prosty; określił je sam następującemi słowy: „Wiem, że co do zmiany wyznania było przez rząd krajowy wydane osobne rozporządzenie i że zostało ono zatwierdzone przez cesarza; ponieważ jednak Ojciec św. nie uznał tego rozporządzenia, nie mogę się do niego stosować, będąc oczywiście gotów ponieść wszystkie wynikające z tego konsekwencye“.

KRONIKA.

(*w*) † **Aleksander Jabłonowski** — patryarcha historyków naszych, członek Akademii Umiejętności w Krakowie i prezes Towarzystwa Naukowego w Warszawie, w plejadzie historyków polskich zajął wybitne miejsce nietylko jako genialny znawca dziejów ziemi ruskich Rzeczypospolitej na przełomie XVI. i XVII. stulecia, co było główną specyalnością uczonego, ale również, jako badacz dziejów kultury i etnografii Wschodu, a przedewszystkiem Słowiańszczyzny.

Dzieła A. Jabłonowskiego mają tę charakterystyczną i rzadką właściwość, że oparte są na bezpośredniem zetknięciu się autora z żywym materyałem, który czerpał ze swych podróży po Wschodzie i Słowiańszczyźnie.

Urodzony w r. 1829. w dawnej ziemi czerskiej, po ukończeniu gimnazyum w Białymstoku wstąpił Al. Jabłonowski w r. 1847 na wydział filologiczno - historyczny uniwersytetu kijowskiego i poświęcił się tam przeważnie studyom nad slawistyką. Wśród kolegów poznał tu młody miłośnik historyi Serbów i Bułgarów, zdobył znajomość ich języków; tu też rodzi się myśl gruntowniejszego badania świata słowiańskiego. Chcąc jednak rozszerzyć horyzont ogólnego wykształcenia, przenosi się Jabłonowski na uniwersytet dorpacki, a w r. 1852. zaczyna praktycznie rozwijać swe dążenia naukowe, chce naocznie poznać Słowiańszczyznę. Studya rozpoczynają się od Ukrainy, gdzie A. Jabłonowski gruntownie bada dzieje ziemi ruskich i przebywa w Kijowszczyznie i w Kijowie do r. 1858. Tu powstały pierwsze jego prace: „O prowincyonalizmach w dawnej Polsce“ i „Rodzina w Polsce, jej rozwój historyczny“.

Do r. 1860. przerywają się studya słowiańskie. Al. Jabłonowski w Berlinie, Londynie i Paryżu pogłębia swe wykształcenie ogólnohistoryczne, chociaż jednocześnie bada dzieje bizantyńskie i ich wpływy na Słowiańszczyznę. Właściwe studya słowiańskie rozpoczynają się dopiero w r. 1860., a pierwszym etapem jest Praga i Wiedeń, gdzie Jabłonowski poznaje się z kołem ówczesnych slawistów i z wykładami Miklosiča. Dalej następuje podróż do Zagrzebia i wschodnio-południowych ziem słowiańskich, którym historyk poświęca szczególniejszą uwagę. Uprzednio zwiedziwszy Wschód, zatrzymuje się A. Jabłonowski dłużej na Balkanach, a tu przeprowadza studya nad bohaterską poezyą serbską i zależnością jej od wpływów wschodnich.

Studya te A. Jabłonowskiego cechuje nietylko znajomość filologii słowiańskiej, ale i kultury wschodniej; uczony stara się wykazać wpływy wschodnie na rozwój dziejowy obyczajowości, oraz języków i narzeczy południowo - słowiańskich.

Po powrocie z południa osiada historyk na dłuższy czas w Kijowie, potem w Kamieńcu Podolskim oraz Odesie; tu pracuje nad tematem: „Koleje dziejowego zrzeszenia się Słowian“. W r. 1868. udaje się Jabłonowski ponownie w podróż na Wschód i Słowiańszczyznę południową.

Systematyczną pracę rozpoczyna zmarły historyk dopiero od r. 1870., kiedy osiadł na stałe w Warszawie, a zwłaszcza gdy pospolu z prof. Adolfem Pawińskim wydaje od r. 1875 wydawnictwo p. t.: „Źródła Dziejowe“, które przekroczyło już 20 tomów. Nie tu miejsce oceniać powagę i doniosłość owego wydawnictwa, będącego obfitą kopalnią materyału do historyi Ukrainy, Rusi Czerwonej, Podola i Wołynia.

Będąc współpracownikiem całego szeregu pism — *Ateneum, Tygodnika Illustrowanego, Wędrowca, Wisły* i innych — Al. Jabłonowski umieszczał tu obficie studya i prace, w których obok rzeczy, dotyczących specyalnie Polski, Ukrainy i Rusi, niemałą uwagę poświęca wogóle Słowiańszczyźnie.

Z długiego szeregu dzieł i prac zmarłego historyka wspominamy

tu: „Polska i Polacy w poezyi ludowej Słowian zadunajskich“, „Hercegowina. Kraj i lud“, „Ruch w Krainie słowieńskiej“, „Belgrad“, „Bułgarowie — charakterystyczne cechy ich narodowego odrodzenia“, „Ruch umysłowy wśród południowych Słowian“ i wiele innych.

W roku 1904. ukazał się zeszyt pierwszy wielce pracowitego pierwszego w tym kierunku: „Atlasu ziem ruskich Rzeczypospolitej“; a w wydawnictwie jubileuszowem warszawskiem, podjętem na cześć 500-lecia uniwersytetu Jagiellońskiego, ukazało się dzieło Jabłonowskiego p. t.: „Akademia kijowsko-mohilańska — zarys historyczny na tle rozwoju ogólnego cywilizacyi zachodniej na Rusi“. Tu autor skreślił wpływ kultury polskiej na Rusi i dalej na Wschodzie.

Oceniając zasługi zmarłego historyka polskiego, cesarskie rosyjskie Towarzystwo geograficzne przesłało A. Jabłonowskiemu w r. 1880. ankietę urzędową w celu zasiągnięcia opinii uczonego w sprawie programu badań dla ekspedycyi naukowej, wysłanej do Bułgaryi, a w r. 1892. mianowano go członkiem rzeczywistym „Towarzystwa historycznego latopisca Nestora w Kijowie“. Akademia krakowska w r. 1894. mianuje Jabłonowskiego swym członkiem i odznacza nagrodą naukową. „Towarzystwo miłośników historyi w Warszawie“ obiera w r. 1907. sędziwego uczonego na prezesa, a w tymże roku zostaje również prezesem „Towarzystwa naukowego warszawskiego“.

Ś. p. Al. Jabłonowski trwał na posterunku do ostatnich niemal godzin swego wieku sędziwego, a przed kilku miesiącami na międzynarodowym kongresie historycznym w Londynie demonstrował swą metodę map historycznych i wywiózł stamtąd ostatnie zaszczytne odznaczenie — dyplom na członka królewskiego Towarzystwa historyczno-geograficznego.

Dla Polski zmarł w nim niepospolity i niestrudzony pracownik naukowy; pokoleniom młodszym przekazał w spuściźnie bogatej niezatarte ślady pracy i dążeń.

Świat Słowiański stracił w Zmarłym gorliwego od samego początku przyjaciela. Zaraz w pierwszym roczniku naszego pisma ogłosił napisaną dla nas umyślnie pracę o biskupie chorwackim Strossmajerze.

Franciszek Hovorka, znany doskonale czytelnikom *Świata Słowiańskiego,* wypróbowany przyjaciel Polski, spędził lato tegoroczne w Zakopanem. Przejeżdżającemu z powrotem przez Kraków pragnęli wyrazić swe uczucia zobowiązani polscy przyjaciele, tem bardziej, że w roku bieżącym wypada 35-letni jubileusz działalności literackiej naszego czeskiego sprzymierzeńca. Z porozumienia się prasy krakowskiej, Klubu Słowiańskiego, Towarzystwa Słowiańskiego i Koła artystyczno-literackiego powstało zebranie towarzyskie, połączone z bankietem, które odbyło się w salonach »Koła«, wieczorem dnia 13. września. Prócz kilkudziesięciu członków wymienionych stowarzyszeń i redakcyj pism krakowskich, wzięli udział w uczczeniu jubilata Radca dworu prof. Zoll senior i wiceprezydent miasta Dr Szarski. Miłą niespodzianką było, że na bankiecie powitaliśmy jeszcze dwóch innych czeskich gości: p. Hejreta, redaktora *Narodni Politiky* z Pragi i słynnego Jożę Uprkę, mistrza znanego z krakowskich wystaw obrazów. Krakowską kolonię czeską przedstawiali pp. Hoffmann, poważany w Krakowie i znany z polonofilstwa kupiec, tudzież dyrektor banku Stejskal. Mowy na cześć Hovorki wygłosili: prof. Dr August Sokołowski, artysta-malarz poseł Włodzimierz Tetmajer, dyrektor Roman Zawiliński, artysta-malarz i literat Stasiak, redaktor Władysław Prokesch. Jubilat dziękował wzruszony, snując wspomnienia swych pierwszych spotkań i stosunków z Polakami, następnie wycieczki czeskich Sokołów do Krakowa w r. 1882., zjazdu dziennikarzy słowiańskich w Krakowie, uroczystości odkrycia

pomnika Mickiewicza i ostatniej wielkiej »wyprawy« Czechów do Warszawy. Przeszło setka telegramów z Polski, Czech i z Serbii (gdzie jubilat niedawno bawił) nadawała zebraniu tem bardziej cechę słowianofilską. Nadesłali telegramy: rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Dr Zoll iunior, bawiący podówczas we Lwowie; prof. Rostafiński z Zakopanego, Stowarzyszenia dziennikarzy we Lwowie i w Warszawie, Kasa im. Mianowskiego, nadto z Warszawy Olchowicz, Papieski, Kotarbiński, Solski, Frenkel, Krzywoszewski i inni; z Czech Spolek českých žurnalistů i Jednota č. novinárů, sekretarz Rady Narodowej Seifert, prezes Rady rolniczej Prokupek, poseł Baxa, pp. Vondraček, Pilat, Červinka, panie Hořicová-Laudowa i Bogucka z Pragi, redakcya *Narodnich Listów*, Rada miejska Březnicy, rodzinnego miasta jubilata i i.; naczelny lekarz wojskowy armii serbskiej Dr Sondermajer z Belgradu (Polak), poseł serbski w Wiedniu Jovanović, prof. Despotović, dziennikarze belgradzcy, serbskie Biuro korespondencyjne, żeńskie stowarzyszenie »Kolo srpskich sestara« i i.; nadto p. Adrian, generalny konsul austryacki w Warszawie.

Wieczór miał cechę serdeczną, chociaż poważną. Wspomniano też, że Hovorka musiał znieść niejedną przykrość za swój polonofilizm... Nie dbając o to, robił swoje i w najgorszych czasach, kiedy knut był ideałem ogółu czeskiego, a „policmajster“ najtrafniejszym wyrazicielem tego, co Czesi rozumieli przez ideę słowiańską — Hovorka miał odwagę mówić prawdę i doczekał się wreszcie tego, że bielmo spada (chociaż jeszcze nie zupełnie spadło) z oczu czeskiego społeczeństwa i można z Czechami mówić o Słowiańszczyźnie.

Niechajże używa Hovorka w długie jeszcze lata, na co zasłużył: uznania u swoich, a w Polsce nadto miłości i oby miał dużo sposobności przekonać się, że nietylko w Polsce, lecz i w Czechach dojrzewają plony z jego serdecznej siejby!

Z „Towarzystwa Słowiańskiego“. Sezon letni b. r. w »Tow. Słow.« zbiegł w ciszy i pozornej bezczynności. Odczyty, wykłady, referaty, jak niemniej i posiedzenia wydziału ustać musiały z łatwo zrozumiałych powodów. Mimo jednak pory ogórkowej Zarząd nie ustawał w pracy, przeprowadzając te części swego programu, które wymagały swobodniejszej sposobności i dłuższego czasu.

Z prac tych przygotowawczych wymienić należy druk dwu dalszych tomików naukowego działu »Biblioteki Słowiańskiej« (T. 2. L. Wasilewski: »Słowianie, statystyka i rozmieszczenie« i T. 3. E. Kołodziejczyk: »Słowianofilstwo wielkiej emigracyi«), które w tych dniach opuściły prasę i zostaną rozesłane członkom Towarzystwa.

Odłogiem leży dotychczas dział drugi »Biblioteki«, beletrystyczny — niestety, głównie z powodu zbyt szczupłych funduszów w kasie Towarzystwa. Zarząd jednak i w tym kierunku poczynił już starania, uzyskując bogaty, jak na początek, zasób materyału pierwszorzędnego: w powiastkach, nowelach i obrazkach czeskich Vrchlickiego i Zeyera, chorwackich Babìća-Gjalskiego, Milki Pogačić, Katalinić-Jeretova i i., serbskich L. Lazarevića, bułgarskich Wazowa, Straszimirowa i i. Przekładów pierwszych obiecał łaskawie udzielić Towarzystwu p. M. Szukiewicz, z serbskiego i chorwackiego p. H. Łodzińska i dyr. R. Zawiliński, z bułgarskiego p. J. Ancowa. Nadto Zarząd Tow. Słow. postara się o fachowych tłómaczy z języków łużyckiego, słowackiego, słowieńskiego, ruskiego i rosyjskiego, chcąc dać swym członkom w przeciągu 2 — 3 lat piękną biblioteczkę nowelistów i powieściopisarzy słowiańskich.

Na to wszystko jednak potrzeba koniecznie funduszów, stosunkowo nawet niewielkich, gdyż wydawnictwa wspomniane w bardzo krótkim czasie same się opłacą. Podstawę materyalną jednak Towarzystwo mieć musi, jeśli chce owocnie działać, ta zaś możliwa jedynie przy wielkiej ilości

członków. Liczba ich dotychczas wzrasta stale i konsekwentnie, jednak zbyt powoli i nie stoi w żadnym stosunku do zakresu działania i programu zadań Towarzystwa. Zarząd tedy apeluje do wszystkich przyjaciół sprawy słowiańskiej, a raczej sprawy polskiej w Słowiańszczyźnie, aby się zapisywali na członków Towarzystwa; do wszystkich zaś dotychczasowych członków i czytelników »Świata Słowiańskiego«, aby zechcieli jak najgoręcej zachęcać nowych ludzi do przystępowania do Towarzystwa.

Potrzebny jest szczególnie liczniejszy zastęp młodych ludzi włonie nowej organizacyi, któraby chciała wychować sobie i sprawie szereg fachowo przygotowanych i wyszkolonych pracowników na wszystkich polach słowianoznawstwa.

Zrozumiała tę potrzebę w roku ubiegłym grupa krakowskiej młodzieży, koncentrująca się w »Kółku slawistów U. U. J.« i przystąpiła do Tow. Słow. in corpore. Pozatem jednak jednostek oddzielnych, garnących się do Towarzystwa, dotychczas jeszcze zbyt mało, mimo, że Zarząd zniżył dla młodzieży wkładkę roczną do minimalnej, akademickiej kwoty 1 K.

Co do organizacyi wewnętrznej Tow. Słow. dodać należy, że pierwsza sekcya w jego łonie, t. zw. Sekcya kresów (na razie wielkopolskich) rozpoczęła już przed wakacyami swą działalność, dzięki bardzo energicznym staraniom jej najczynniejszych założycieli: prof. A. Karbowiaka, Dra M. K. Morawskiego i ks. prof. Zimmermanna. Przewodnictwo w tej sekcyi przyjął łaskawie senior krakowskich Wielkopolan, prof. Dr Wicherkiewicz.

Na zewnątrz wystąpiło Tow. Słow. podczas wakacyi dwukrotnie: Po raz pierwszy — biernie — w dniach od 23. — 27. sierpnia b. r. w słowieńskim Zjeździe Katolickim w Lublanie, przez współudział kilku członków Tow. z ks. prof. Zimmermannem na czele. Po raz wtóry — czynnie — dnia 15. września na krakowskiej uroczystości jubileuszowej ku czci Redaktora Františka Hovorki z Pragi, wiernego przyjaciela Polaków. Towarzystwo Słowiańskie w swym krótkim żywocie zaciągnęło już wielkie długi zobowiązania wobec czeskiego jubilata, w najbliższej przyszłości tedy da wyraz swoim uczuciom w osobnem jeszcze wystąpieniu.

Czeska kronika.

† **Ladislav Quis**, poeta, zmarł 1. września w Černošicach pod Pragą, w wieku 67 lat. Był najwybitniejszym ze szkoły Svatopluka Čecha (do której zalicza się Otokara i Miloša Červinków, Bohuslava Čermaka, Hanuša Věnceslava Tumę, Miroslava Krajnika, Emanuela Miřijovskiego; wszyscy zaprzyjaźnieni z Čechem). Wpisał się do literatury w r. 1872. zbiorkiem wierszy »Zruchu«. Studyował pilnie literaturę powszechną i czeską poezyę ludową, czego wyraźne często odgłosy odczuwa się w jego następnych utworach, tak poważnych, jakoteż satyrycznych: Hloupý Honza (1880, drugie wydanie 1892), Ballady (1883, 1908), Třešně 1884), Písničky (1887, 1910), Epigramy (1897). Tłumaczył też bardzo wiele, jako to: Göthego »Ballady» (1879), Kolcowa »Poezye» (1892), Staroszkockie ballady (1901), a w wolnych przekładach Göthego »Ifigenię w Taurydzie« (1891), Schillera »Maryę Stuart« (1895). Kleista »Rozbity dzban« (1911). Był dobrym wydawcą poetów czeskich F. L. Čelakovskiego, K. J. Erbena, J. P. Roubka, Wacława Šolca, tudzież Karola Havlička. Zajmował się krytyką i pisywał rozprawki, cenne dla historyi piśmiennictwa czeskiego. Wydał dwa tomy pamiętników (»Kniha vzpominek«, 1902), stanowiących pierwszorzędne źródło do całego życia publicznego w Czechach, a zwłaszcza do ruchu literackiego, szczególniej w latach 1860—1880.

Urodzony w Czasławiu w r. 1846., studyował prawa w Pradze, był adwokatem w rodzinnem swem mieście przez lat trzy, a potem przez długie lata w Přelouči. Zamknąwszy kancelaryę, przeniósł się do Pragi, a nabywszy willę w Čer-

nośicach pod Pragą, tam ostatnie lata spędził, miły Bogu i ludziom.

Divadlo w přirodě, to jest teatr pod gołem niebem — jest obecnie problemem »na czasie«, rozważanym doświadczalnie równocześnie w kilkunastu miejscach Europy. Do szeregu eksperymentatorów przyłączyło się ostatniego lata też praskie Narodni Divadlo i to z wynikiem znakomitym. Od jednego z przyjaciół naszego pisma otrzymaliśmy o tem następującą korespondencyę:

Na niełatwe przedsięwzięcie zdobył się czeski Teatr Narodowy w Pradze, urządzając daleko od miasta, w Šarce, przedstawienie teatralne pod gołem niebem. Można było mieć otuchę, że próba powiedzie się pod względem artystycznym, ale czy dopisze publiczność? Tu jednak okazało się, że zapał Prażan do teatru jest nieograniczony; pójdą, pojadą statkiem czy pociągiem kolei żelaznej i stawią się niezawodnie; co prawda, ułatwia im pielęgnowanie tego zamiłowania znaczny dobrobyt, który tu znać na każdym kroku. Ciężko narzekać wypadło i dyrekcyi i publiczności na tegoroczne dżdże, które przekreśliły oczywiście niejeden rachunek; ale też ta vis maior jedyną była we wszystkiem stroną ujemną.

Šarka, jestto prześliczna kraina, przypominająca nasze Dubie pod Krzeszowicami i Mników zarazem. Rozległe pola i łąki, drogi, ścieżki i miedze, wysadzane drzewami, na horyzoncie lasy szpilkowe, w oddali Praga. Krajobraz pagórkowaty; lecz oto staje się nagle przed szeroką doliną, bardzo głęboką, gwałtownie spadzistą, tak, że droga wić się musi serpentyną; z boków olbrzymie, poszarpane skały. wśród nich jary i strumyki, tylny zaś plan zamknięty wzgórzem lesistem, mogącem przypominać nasz Sikornik. I w tej właśnie dolinie rozegrał się teatr.

Jedno ze zboczów ma kształt ściany lejka, świetnie nadało się więc pod amfiteatr, tem bardziej, że z natury rzeczy ławy łukiem ustawić musiano. Na zboczu tem, porosłem suchą trawą górską, zmieściło się wygodnie około 12.000 widzów. Toteż widok, zwłaszcza z góry i przy pełni słońca, na różnokolorowe morze głów ludzkich, obniżające się stopniowo, sam przez się sprawiał już wrażenie, wywoływał nastrój; ciekawe, że właśnie nakłaniający do ciszy.

Na dole scena olbrzymia, zamknięta z boków wzgórzami i skałami, z tyłu »Sikornikiem«. Z lewej strony od widza z wąwozu skalistego wydobywa się droga, obok niej jednopiętrowa gospoda, przed nią ławki i stoły, w środku chata, zabudowania gospodarskie, mur z szerokiemi wrotami i furtką, przed chatą słoneczniki, od chaty w tył droga w dolinę, z prawej strony trzy wzgórza skaliste, na szczycie jednego z nich kościółek z wijącą się do niego ścieżką, na zboczach wzgórz wozy i namioty cyrkowe — wszystko oblane blaskiem popołudniowego, wiosennego słońca; zewsząd słychać śpiew ptaków, wietrzyk lekki porusza drzewami, które poważnie szumią, las stary i młody, ciemny i jasno zielony.

Z prawej strony nad widzem odzywa się trąbka, w chwilę potem z lewej, wreszcie w dole, w orkiestrze; cisza zalega wokoło, przedstawienie się rozpoczyna.

Dzwonek na wieżyczce kościelnej. Het, daleko, od »Sikornika«, wychodzi procesya z chorągwiami, ledwo gołem okiem dostrzegalna, w miarę zbliżania się rosnąca (25 minut minęło, zanim doszła pod koniec aktu na scenę); orkiestra zaczyna uwerturę, na obu drogach zjawiają się tłumy chłopów, chłopek i dzieci w bajecznie kolorowych strojach ludowych; wszystko wesołe, rozgwarzone, boć odpust przecie, wpada z impetem przed widza. Chór, wspaniały chór Narodniho Divadla, zaczyna śpiewać, ludu zaś przybywa i przybywa, już zbocza się zapełniają, niewiele chyba do tysiąca brakowało (statystowali w znacznej części amatorzy w strojach własnych, tem bogatszych i wierniejszych). »Proč bychom se netěšili, když nam pán Bůh zdraví dá...«, rozbrzmiewają po dolinie harmonijne ześpiewane głosy zespołu operowego; wchodzą Jenik (Dura)

i Mařenka (Šlechtova), jej rodzice (Burian, Horvatová); Kecal (Pollert) zachwala Vaška (Krössing): »nenì velky ani malý, není tučny ani suchý«, pertraktacye postępują naprzód. Wreszcie procesya, złożona z kilkudziesięciu osób, doszedłszy do sceny, zaczyna wstępować na wzgórze, ku kościółkowi; robi się ruch, jedni się przyłączają, inni zostają w dolinie, coraz rojniej i gwarniej, młódź gotuje się do tańca. A chór śpiewa wesoło i ochoczo: »Pojď sem holka, toč se holka, pokud vabi skočná polka, ruka v ruce, hledy w hled, s nami toč se celý svět!« Balet, wspaniały balet, stanęło do niego par trzydzieści kilka. A słońce wciąż świeci i świeci.

Po dłuższej pauzie trzechkrotny sygnał trąbką, akt drugi, potem znów po pauzie, trzeci. Znowu cudny balet, potem »ma-ma-ma-tička po-po-vidala, že-žeby radá u-u-hlidala, kdybych se oženil...« Śmiałem się razem z innymi i biłem brawo, bo dobrze Krössing grał Vaška. I śliczne zakończenie tego aktu, gdy chór śpiewa: »Prodal svou milou za tři sta, neniť věru drahá nevěsta. Hanba, hanba!« Lud rzuca się na Jenika, chcąc go obić; ucieczką się ratuje, a ma dokąd uciekać, bo przestrzeni aż nazbyt. Na okolicznych skałach i wzgórzach malowniczo ugrupowani statyści, gdyż przez cały ciąg akcyi wszystko w ruchu, z miejsca na miejsce się przenosi. Zachmurzyło się, słońce przestało świecić, krajobraz spoważniał, stał się nieco ponury. Chłodno się zrobiło, kobiety wiejskie otuliły się chustkami, chłopi powdziewali kaftany i pod tym więc względem oko miało rozmaitość i tem większe złudzenie rzeczywistości. Ba, złudzenie! Przecież wszystko, z wyjątkiem akcyi, było rzeczywiste. Ani sztucznego światła, ani dekoracyj, ani sztucznych granic dla sceny, ani dachu nad polem, jak to w gmachu teatralnym być musi, a miejsca tyle, że wystarczyłoby, gdyby rzecz była nawet zdarzeniem prawdziwem.

Podczas aktu trzeciego wyjrzało znów słońce z poza chmurzącego się nieba. Było już ku wieczorowi, bajeczne, długie cienie kładły się od domostw i drzew po scenie. Ażeby rzecz tem realistyczniej przedstawić, wystąpili prawdziwi komedyanci i podczas gdy na właściwej scenie rozgrywała się akcya, oni na zboczu pokazywali swoje sztuki, wokoło nich zaś stał tłum wielobarwny, gapiąc się z zajęciem na te dziwy i nagradzając akrobatów oklaskiem za ich wysiłki. Oczywiście, że oklaski te polegały tylko na odpowiednich ruchach rąk i składaniu dłoni, inaczej bowiem statyści zagłuszaliby muzykę i śpiewy. Komedyanci wchodzą i wychodzą ze sceny przy dźwiękach swojej własnej muzyki (bęben, bębenek, talerze i dwa niemożliwie fałszywe klarnety), orkiestra operowa wtenczas nie gra. I to nieźle wyglądało, a nabierało pozorów prawdy. I jeszcze jeden balet, kankan tańczony na kończynach palców.

Trzeci akt niewątpliwie najlepszy z całej opery. Gdy kwintet zaczął śpiewać: »rozmyšli se, Mařenko, rozmyšli...«, a potem przemienia się w sekstet, gdy Mařenka się do śpiewu przyłącza, gdy potem śpiewa Mařenka solo: »O jaký žal, jaký to žal, když srdce oklamáno!« (prześliczne miejsce!), a potem z nią Jenik: »...tak tvrdošijná divko jsi«... »tak ošemetný muž jsi tý«, do reszty przekonałem się do »Sprzedanej Narzeczonej« i rozumiałem zachwyt kilkunastu tysięcy słuchaczy. Toteż nie dziwię się oklaskom bez końca i wywoływaniu aktorów, bo sam z innymi wywijałem kapeluszem i chustką i krzyczałem: »Vyborně! Na zdar!«

Po raz pierwszy chyba całkiem zapomniałem o świecie, żyłem tem, co widziałem i słyszałem. Wrażenie wyniosłem takie silne, że długo jeszcze stałem nad amfiteatrem i patrzałem w dół, aby wszelkie szczegóły utrwalić sobie w pamięci. Dla tego jednego jedynego choćby popołudnia warto było do Pragi przyjechać!

Mimo całego atoli zachwytu nie chce mi się wierzyć w teatr przyszłości pod gołem niebem; prawdziwej literaturze zawsze prawdopodobnie lepiej będzie do twarzy w świecie złudzeń. Pominąwszy bowiem trudności techniczne, zdaje mi się, że do wystawiania na polu nadawać się mogą tylko sztuki po-

pularne, które weszły już niejako w krew danego społeczeństwa, tylko te bowiem, sądzę, zdołają wywołać odpowiedni nastrój i potężne wrażenie. Ale rzecz, przy której chodzi o czystą poezyę, abstrakcyjną, a nie o nastrój tylko poetyczny? Jak tu myśl skupić na wygłaszanych słowach, kiedy oko błądzi po całym horyzoncie, bada koloryt krajobrazu i wiąże rozgrywającą się akcyę ściśle z okolicą? Ano zobaczymy, Narodni Divadlo zapowiedziało jeszcze w tym sezonie dramat historyczny w Šarce.

Co do strony reżyserskiej przedstawienia w Šarce, nie dostało kierownikom oka malarskiego. Tłumy były, ruszały się swobodnie, żyły, to prawda. Ale można je było o wiele bardziej malowniczo rozrzucić, a z drugiej strony bardziej organicznie połączyć z akcyą, rozgrywającą się na właściwej scenie. Bo tłumy zawsze trzymały się poza tą ostatnią, znać było, że służą raczej do ożywienia doliny, a nie biorą udziału w tem, co się wokoło nich dzieje. Dopiero gdy chór miał występować, zlewał się tłum ze solistami. Oczywiście dzięki temu soliści byli zawsze na pierwszym planie, ale pozory prawdy dużo na tem traciły. Są to niezawodnie jeszcze pozostałości z teatru pod dachem.

Nie potrzebnie również oderwano właściwą scenę od tła przez to, że nietylko ubito klepisko, bo to zresztą dla zrozumiałych przyczyn musiano, ale nadano mu formę geometrycznego prostokąta, naokoło zaś pozostawiono odrzynającą się skutkiem tego grudę. O wiele przecież lepiej wyglądałoby klepisko nieregularne, z grudą zachodzącą na nie, bo wtenczas zdawałoby się że sceną jest nietylko ta mała, ubita przestrzeń, lecz cała widziana okolica.

Było to w połowie maja, poczem nie można było doczekać się zapowiedzianego dramatu historycznego, bo przedstawienie trzeba było nieustannie odkładać z powodu deszczów. Aż dopiero 29 czerwca daliśmy się »złapać« i oglądaliśmy w »přírodě« na nawalnym deszczu popularny dramat historyczny F r. S u b e r t a, »J a n V y r a v a«. Rzecz dzieje się w r. 1783. we wschodnich Czechach, a przedstawia »bunt« chłopski. Na tle tych samych pagórków, co i w »Prodanej« z jednej strony »sceny« zamek z ogrodem, sięgającym w dolinę, okolony wysokim murem obronnym, z drugiej strony wieś, ciągnąca się zabudowaniami w drugą dolinę i na pagórki. Właściciel zamku, hr. Roveredo-Lanzenfeld, pozostaje z wieśniakami mimo pańszczyzny w nienajgorszych stosunkach — gdyby nie zarządca jego dóbr, Karmin. Typy ówczesnych chłopów świetnie przedstawione, język dramatu potężny. W pierwszym akcie dożynki, podczas których ktoś donosi chłopom o »robotpatencie« (»robott«, w niemczyźnie austryackiej pańszczyzna; oczywiście ze słowiańskiego »robota«; »Robott-patent«, patent Józefa II. o zniesieniu pańszczyzny). Idą więc chłopi do pana ze skargą na uciskającego ich rządcę, który mści się potem na nich. Ci wzburzeni gotują się na dwór; przewodzić ma im V y r a v a, którego syn, Jeronym, po stronie dworu bo... zakochany w hrabiance Sylwii (dramat pisany przed 27 laty). Bajeczne stroje; garderoba teatralna popisała się: wysokie białe peruki, harcopy, pluderki kolorowe, pantofelki, kapelusze trójgraniaste »pierogi«, laseczki z gałeczkami — wszystko accuratissime. Wojsko piesze w mundurach czerwonych, niebieskich i białych; jest także konnica, dowódzca na siwku, czeladź, lud wiejski etc. etc., całe tłumy. Najudatniejszy akt ostatni. Hasłem do napadu na dwór podpalenie chaty V y r a v y. Eksperyment realistyczny nielada: prawdziwy pożar na »scenie« ciągnął się przez cały akt. I bitwa realistyczna nie na żarty; biorą w niej udział setki ludzi. Huk strzelb, wywijanie kos i cepów, atak konnicy, otoczenie chłopów przez piechotę, obrona muru zamkowego, burzonego przez chłopów w oczach widzów; potem pędzenie pojmanych chłopów przez baty w sposób praktykowany do dziś dnia w Rosyi; chłopi uzbrojeni, ściągający na pomoc z okolicznych gór etc. etc.; to wszystko udatne niezmiernie, świadczyło, że dokonano trafnego wyboru przedmiotu na »teatr w przyrodzie«.

cz.

Druk ukończono 1-go października 1913.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: D r. F e l i k s K o n e c z n y.
Czcionkami drukarni Literackiej w Krakowie
pod zarządem L. K. Górskiego.